

Z BOJÓW BRYGADY
PIŁSUDSKIEGO

Z BOJÓW BRYGADY PIŁSUDSKIEGO

WOJSKOWE CENTRUM EDUKACJI OBYWATELSKIEJ
INSTYTUT JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W AMERYCE

WARSZAWA 2014

Redakcja
Witold Rąbski

Korekta
Hanna Bajan-Jaskółowska

Projekt graficzny, redakcja techniczna i skład
Lilianna Zawadzka

© Copyright by Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej, 2014

ISBN 978-83-63755-39-3

Wydanie I, Warszawa 2014

Wydawcy



WOJSKOWE CENTRUM
EDUKACJI OBYWATELSKIEJ
www.wceo.com.pl

ul. S. Banacha 2
00-909 Warszawa
www.wceo.com.pl



Instytut Józefa Piłsudskiego
w Ameryce

180 Second Avenue
New York, NY 10003
www.pilsudski.org

Druk i oprawa
DIMOGRAF sp. z oo.
ul. Legionów 83, 43-300 Bielsko-Biała

WSTĘP

*P*przed 100 laty, 6 sierpnia 1914 roku, zorganizowana przez Józefa Piłsudskiego Pierwsza Kompania Kadrowa wyruszyła z krakowskich Oleandrów w kierunku Miechowa i o godz. 9.45, po obaleniu słupów granicznych, wkroczyła na ziemie Królestwa Polskiego. Ten niewiele z pozoru znaczący incydent urósł jednak w naszej najnowszej historii do rangi wielce znaczącego symbolu. Oto bowiem pierwszy od wielu lat oddział Wojska Polskiego stanął do walki z jednym z zaborców – Rosją. Walki, której celem dalekosiężnym i wyśnionym przez kilka pokoleń Polaków, okupionym przez nie krwią i cierpieniem, była wolna i niepodległa Rzeczpospolita. Akt ten jednocześnie zapoczątkował czyn legionowy w I wojnie światowej, stanowiący chwalebny i godny najwyższego uznania zbrojny wkład w odrodzenie się Polski w 1918 roku. Legendę Legionów Polskich znaczą nazwy licznych miejscowości rozsianych na ich bitewnym szlaku: Laski – Anielin (21–24 X 1914), Mołotków (29 X 1914), Krzywopłoty (14 XI 1914), Łowczówek (22–25 XII 1914), Konary (16–22 V 1915), Rokitna (13 VI 1915), Tarłów (30 VI–2 VII 1915) czy Kostiuchnówka (4 XI 1915 i 4–6 VII 1916). Bitwy te, opisane przez historyków i upamiętnione na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie, stanowią, podobnie jak inne miejsca chwały żołnierza polskiego, trwałe składniki naszej narodowej pamięci. Legendę Legionów Polskich uosabia przede wszystkim Józef Piłsudski, ich organizator i Komendant, polityczny wizjoner, pragmatyk, człowiek, który romantyczną postawę buntownika przeciwko zastanej rzeczywistości potrafił godzić z nacechowanym realizmem i popartym żelazną wolą skutecznym działaniem.

Cechująca Piłsudskiego bodajże w sposób najbardziej wyrazisty wiara, że siłą ducha można przewyciężyć wszystkie trudności na drodze do szczytnego celu, że nie bierność, lecz śmiałość, ale i rozumność czynu stanowią o patriotyzmie, bliska była ówczesnej, wychowanej na literaturze romantycznej polskiej młodzieży. Była też – jak można

sądzić – jednym ze źródeł niezwyklej popularności Komendanta wśród legionowej braci, charyzmy, która uśmierzała zwątpienia i motywowała do kolejnych wyzwań i poświęceń. Potwierdzenie tej tezy znajdujemy m.in. we wspomnieniach Bolesława Wieniawy-Długoszewskiego, jednego z najslawniejszych legionowych kawalerzystów, a jednocześnie najbliższego współpracownika brygadiera Piłsudskiego.

Zastanawiając się nad czynnikami skłaniającymi Legionistów do sumiennej i ofiarnej służby, Wieniawa pisze:

Podniecały ją [sumienność] i poczucie obowiązku, i ochota do wojenki, i fason kawalerski, i współzawodnictwo z piechotą (...). Lecz głównym bodźcem było co innego, a mianowicie (...) rozkochanie w Komendancie – owa mistyczna, tak zapalcząca, zwłaszcza w kawalerskich sercach, miłość żołnierzy do swego Wodza. Nastrój w szeregach był taki, że gdyby nam Komendant kazał skakać na łeb z wieży kościelnej, skoczylibyśmy wszyscy – po starszeństwie – najpierw Belina, za nim Orlicz-Dreszer, potem Głuchowski, Grzymot-Skotnicki itd., aż do ostatniego ulana taboryty.

Ślady fascynacji osobą Komendanta znajdujemy we wznawianym obecnie zbiorze wspomnień Legionistów zatytułowanym *Z bojów brygady Piłsudskiego*. Autorzy wspomnieliowych tekstów byli ludźmi nietuzinkowymi, a tacy właśnie: literaci, malarze, działacze społeczni i polityczni, młodzi inteligenci, w dużej części tworzyli szeregi tego szczególnego rodzaju wojska. Niezwykle też musiało być to wojsko, w którym stopnia wachmistrza dosłużył się sam Wacław Sieroszewski (1858–1945), syn powstańca styczniowego, zesłaniec syberyjski, wybitny pisarz, podróżnik i etnograf, w 1918 roku minister w Tymczasowym Rządzie Ludowym Republiki Polskiej w Lublinie. Synem powstańca styczniowego, członka powstańczego Rządu Narodowego był także Gustaw Daniłowski (1871–1927), prozaik, publicysta, działacz społeczny. Los Adama Dobrodzickiego (1883–1944), malarza, litografa, reżysera teatralnego, niejako symbolicznie dopełnił się w październiku 1944 roku, wraz z klęską Powstania Warszawskiego, a więc także wraz z kresem Państwa Polskiego, o którego wskrzeszenie walczył i któremu poświęcił swe rozliczne talenty. I wreszcie harcerz Stefan Pomarański – żołnierz Pierwszej Kompanii Kadrowej, ranny pod Tarłowem, uczestnik wojny 1920 roku (przygotowywał komunikaty frontowe Sztabu Generalnego) i obrońcy Lwowa w 1939 roku. W sierpniu 1911 roku Stefan Pomarański zorganizował pierwszą w Warszawie męską drużynę skautów przy polskim prywatnym gimnazjum na ul. Smolnej,

później zaś [w 1916 roku] stanął na czele Polskiej Organizacji Skautowej i przyczynił się do zjednoczenia polskiego ruchu skautowego i utworzenia Związku Harcerstwa Polskiego.

Wielu zresztą wychowanków tego gimnazjum, słynącego z atmosfery patriotycznej, będącej głównie zasługą jego dyrektora, gorącego patrioty, byłego zesłańca syberyjskiego Mariana Rychwałowskiego, z chwilą wybuchu I wojny światowej przekradło się przez granice zaborów i walczyło w Legionach.

Współczesnego Czytelnika może zaciekać, jak ci, niejednokrotnie wybitni, o potwierdzonej już pozycji społeczno-zawodowej dojrzały ludzie, przywykli do swobodnego życia artyści, „pięknoduchy” – inteligenci radzili sobie w pełnych różnorodnych ograniczeń, pozbawionych wszelkich wygód, a w dodatku obfitujących w wojenne niebezpieczeństwa frontowych warunkach. Jak na tę swoją legionową wojaczkę patrzyli *in statu nascendi*, w trakcie rodzenia się dzieła – zaczynu Niepodległości. Czy mieli wreszcie świadomość, czy przeczuwali, że Historia, którą także swym żołnierskim trudem współtworzą, okaże się tym razem dla Polaków łaskawa. W opisie przepojonej żołnierskim potem, ale i zroszonej krwią szarej okopowej codzienności nie znajdziemy jednak podniosłe brzmiących, koturnowych deklaracji patriotycznych. Nie są one zresztą tam potrzebne. Wszak wstępując do Legionów, podejmując oręż wytrącony z rąk przodków, złożyli Legioniści najpiękniejszą, najbardziej wymowną deklarację patriotyczną. Całe swoje dotychczasowe życie, swój człowieczy los rzucili na stos, stos ofiarny złożony na ołtarzu Ojczyzny. Nie powinniśmy o tym nigdy zapominać.

dr Magdalena Kapuścińska

Prezes

Instytutu Józefa Piłsudskiego

w Ameryce

prof. nadzw. dr hab. Aleksandra Skrabacz

Dyrektor

Wojskowego Centrum

Edukacji Obywatelskiej



STRZELCY PIŁSUDSKIEGO 1914–1915

Po upadku rewolucji 1905–1907 roku w Królestwie Polskim najwybitniejsi uczestnicy wystąpień antyrosyjskich oraz licząca kilka tysięcy grupa patriotycznej młodzieży schronili się w Galicji. Najaktywniejsi skupili się w tajnym Związku Walki Czynnej założonym we Lwowie w czerwcu 1908 roku przez Kazimierza Sosnkowskiego z inspiracji Józefa Piłsudskiego, którego jawnym przedłużeniem stały się organizacje paramilitarne, powstałe w 1910 roku: Związek Strzelecki we Lwowie oraz Towarzystwo „Strzelec” w Krakowie. Ich naczelny cel sformułowany przez Piłsudskiego stanowiło przygotowanie kadr dla wojska powstańczego które, korzystając z poparcia Austro-Węgier, miało wystąpić przeciwko Rosji w chwili wybuchu europejskiego konfliktu zbrojnego. Za przykładem towarzystw strzeleckich powstawały też inne organizacje paramilitarne: Polskie Drużyny Strzeleckie, Drużyny Bartoszwowe, Polowe Drużyny Sokole oraz Drużyny im. Tadeusza Kościuszki, w których także szkolila się młodzież polska. Austro-węgierskie władze tolerowały tę działalność, licząc, że powstanie w Kongresówce utrudni, a może nawet sparaliżuje ruchy rosyjskiej maszyny wojskowej, a tymczasem oczekiwały od polskich irredentystów działalności wywiadowczej.

Pierwsza wojna światowa, poprzedzona olbrzymimi i długotrwałymi zbrojeniami, rozpoczęła się na przełomie lipca i sierpnia 1914 roku. Bezpośrednim powodem wybuchu był zamach dokonany 28 czerwca 1914 roku w Sarajewie przez spiskowców serbskich, inspirowanych przez serbski wywiad, w którym zginęli następca tronu austro-węgierskiego arcyksiążę Franciszek Ferdynand i jego małżonka, księżna Zofia. Austriacy, choć nie dysponowali dowodami świadczącymi o takim spisku, chcieli skorzystać z pretekstu do rozprawienia się z Serbią, główną ich rywalką w „gromadzeniu” ziem południowosłowiańskich.

28 lipca Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Serbii. Rosja występująca w charakterze protektora państw słowiańskich nie mogła pozostawić Serbii bez pomocy i wobec napaści

na nią, w dniach 29–30 lipca rozpoczęła powszechną mobilizację. 1 sierpnia Niemcy wypowiedziały wojnę Rosji, a 3 sierpnia – Francji. 6 sierpnia Austro-Węgry wypowiedziały wojnę Rosji, natomiast Wielka Brytania i Serbia – Niemcom. 12 sierpnia Wielka Brytania i Francja ogłosiły stan wojny z Austro-Węgrami.

W wyniku gwałtownie rozwijających się wypadków na przełomie lipca i sierpnia 1914 roku Piłsudski wydał pierwsze rozkazy mobilizacyjne dla członków związków strzeleckich i Polskich Drużyn Strzeleckich. Pomimo wakacyjnej pory mieli oni przybywać do krakowskich Oleandrów i tam formować się w oddziały. 2 sierpnia 1914 roku sztab austriacki wydał zgodę na wymarsz strzelców do Królestwa z chwilą wybuchu wojny austriacko-rosyjskiej. Tego też dnia Piłsudski wysłał do Królestwa, w kierunku Jędrzejowa, konny patrol Władysława Beliny-Prażmowskiego.

3 sierpnia po południu Piłsudski dokonał symbolicznego połączenia Związków Strzeleckich oraz Polskich Drużyn Strzeleckich i sformował 1 kompanię kadrową. Do zgromadzonych przed nim strzelców zwrócił się w następujących słowach:

Żołnierze! (...)

Spotkał was ten zaszczyt niezmierny, że pierwsi pójdziecie do Królestwa i przestąpicie granicę rosyjskiego zaboru jako czołowa kolumna wojska polskiego, idącego walczyć za oswobodzenie ojczyzny. Wszyscy jesteście równi wobec ofiar, jakie ponieść macie. (...) Patrzę na was jako na kadry, z których rozwinąć się ma przyszła armia polska, i pozdrawiam was jako pierwszą kadrową kompanię.

6 sierpnia 1914 roku, na kilka godzin przed wypowiedzeniem wojny Rosji przez Austro-Węgry, kompania kadrowa pod dowództwem Tadeusza Kasprzyckiego wkroczyła na teren zaboru rosyjskiego. Czyn ten zapoczątkował zbrojne wystąpienie polskich ochotniczych formacji wojskowych w działaniach wojennych. Działywały one w porozumieniu z armią austro-węgierską, ale nie stanowiły jej części. Nie było natomiast żadnych porozumień o charakterze politycznym. Wobec społeczeństwa polskiego strzelcy występowali jako Wojsko Polskie, podległe rzekomemu Rządowi Narodowemu w Warszawie.

Piłsudski nie przewidywał podjęcia zakrojonej na szerszą skalę walki partyzanckiej na zapleczu wojsk rosyjskich. Uważał, zgodnie zresztą z ogólnym zarysem rosyjskich planów wojennych, iż nieprzyjaciół wycofa większość wojsk za Wisłę, pozostawiając zachodnią część Królestwa bez obrony. W związku z tym jego oddziały miały kierować się na Warszawę za odchodzącymi na wschód wojskami rosyjskimi, wyprzedzając jednostki

austriackie i niemieckie. Do wkraczających kompanii strzeleckich miały dołączyć oddziały królewiackie, prowadzące dotychczas działania wywiadowcze i dywersyjne oraz nieorganizowani dotąd ochotnicy. Traktował więc swoje oddziały jako kadre wojskową, która poruszy zabór rosyjski i pozwoli mu utworzyć samodzielną siłę wojskową, dzięki której sprawa polska zostanie rzucona na „szalę losów” i stanie się czynnikiem umożliwiającym Polakom uzyskanie niepodległości. Zajęcie Warszawy przez samych Polaków miało stworzyć fakty dokonane, z którymi musiałyby się liczyć zarówno Austro-Węgry i Niemcy, jak i ich przeciwnicy na wschodzie i zachodzie Europy. Piłsudski formułując swoje plany, zadbał też o to, aby Francja i Wielka Brytania dowiedziały się, że jego zamierzenia godzą jedynie w imperium rosyjskie.

W ślad za kompanią kadrową wyszły z Krakowa dalsze oddziały strzeleckie. 12 sierpnia wkroczyły one do Kielc; po drobnych utarczkach na ulicach stoczyły bój pod miastem, musiały pod ogniem artyleryjskim wycofać się, ale po kilku dniach wróciły do Kielc na czas dłuższy – i to już w sile pięciu batalionów. 18 sierpnia w Rykoszynie ukazał się rozkaz komendanta Piłsudskiego przemianowujący oddziały pozostające pod jego dowództwem w pułk. W jego skład weszły bataliony piechoty: I – Mariana Żegoty-Januszajtisa (zastąpionego niebawem przez Albina Satyra-Fleszara), II – Mieczysława Norwida-Neugebauera, III – Edwarda Śmigłego-Rydza, IV – Tadeusza Wyrwy-Furgalskiego, V – Michała Karasiewicza-Tokarzewskiego (później używał on formy Karasiewicz), a także batalion zapasowy Kazimierza Floraka, szwadron kawalerii Władysława Beliny-Prażmowskiego, kompania taborów, pluton wywiadowczy, pluton żandarmerii polowej, kompania saperów Mieczysława Dąbkowskiego. Popularnie siły te nazywano grupą Piłsudskiego.

„Byłem w tym okresie zupełnie swobodnym ptakiem” – wspominał później Piłsudski. Drogo wszakże płacił za tę swobodę. Oddziały jego (poza kompanią kadrową) uzbrojone były w przestarzałe karabiny Werndla, nie miały zupełnie broni maszynowej ani artylerii, brakowało im pasów i ładownic. Słowem uzbrojenie i wyposażenie nadawało się dla dywersyjnych grup, operujących – jak pragnęli tego Austriacy – gdzieś na tyłach wroga, ale nie dla frontowych oddziałów wojska.

Powstanie spodziewane w zaborze rosyjskim nie wybuchło. Społeczeństwo Królestwa Polskiego zachowało wobec Rosji w większości postawę lojalną i do akcji J. Piłsudskiego odnosiło się obojętnie i nieufnie, a niekiedy wręcz nieprzychylnie. Zawód odczuli także Austriacy, którzy zaniepokojeni ponadto niepodległościowymi hasłami, zażądali od

Piłsudskiego w drugim tygodniu wojny rozwiązania oddziału lub wcielenia go do armii austriackiej. Sytuację uratowali parlamentarni politycy galicyjscy, którzy już w grudniu 1912 roku uchwalili, że w razie wojny austriacko-rosyjskiej Polacy nie powinni zachowywać się biernie, lecz wystąpić z własną siłą, tworząc wojsko pod hasłem odbudowania Polski w oparciu politycznym i wojskowym o Austrię. Teraz politycy galicyjscy postanowili wykorzystać dla sprawy polskiej fakt wystąpienia Piłsudskiego, rozbudować przy pomocy Austrii jego oddziały do rozmiarów poważniejszych, a następnie za cenę współdziałania z wojskami państw centralnych, uzyskać od nich częściowe przynajmniej wyzwolenie Polski i nadanie jej form państwowego życia.

W myśl tej koncepcji prezes polskiego koła polskiego w parlamencie wiedeńskim i prezydent Krakowa Juliusz Leo wystąpił w Wiedniu z koncepcją utworzenia formacji regularnej: Legionów Polskich, wchodzących w skład armii austro-węgierskiej i uzyskał na to zgodę. 16 sierpnia 1914 r. zawiązał się w Krakowie Naczelny Komitet Narodowy (NKN), złożony z przedstawicieli wszystkich stronnictw: od konserwatystów i endeków do ludowców i socjalistów. NKN był pomyślany jako polityczna reprezentacja społeczeństwa wobec Austro-Węgier i Niemiec oraz jako organ zwierzchni nad polskimi ochotniczymi formacjami wojskowymi.

Nie mając w danej chwili wyboru, a chcąc uratować swoje oddziały, którym groziła likwidacja przez Austriaków, Piłsudski zgodził się na koncepcję Legionów i zgłosił do nich akces swoich oddziałów. Miały one stać się kadrami dla organizujących się od podstaw Legionów Polskich. Swoją decyzję, podjętą zresztą po pewnych wahaniach, uzasadnił w następujących słowach:

Stajemy wobec konieczności dokonania wyboru: prowadzić samotną walkę wzorem dawnych powstańców, skazani wyłącznie na własne siły i środki albo wejść jako mikroskopijna siła do milionowej armii austriackiej, korzystając z jej zaopatrzenia i zachowując możliwie maksimum niezależności wewnętrznej i zewnętrznej, świadczącej o naszej polskości i odrębności naszego ruchu¹.

Piłsudski traktował wejście oddziałów strzeleckich do Legionów jako czasowe, a zatem taktyczne podporządkowanie się wobec Austro-Węgier, wyparcie zaś Rosji z ziem polskich jako etap na drodze do budowy własnego, suwerennego państwa. Jego zwolennicy nie ukrywali przy tym, iż podległość armii austriackiej nie zmienia faktu,

¹ A. Narbut-Łuczyński, *U kresu wędrówki. Wspomnienia*, Londyn 1966, s. 83–84.

że oddziały strzeleckie *pozostają jednak Legionem p o l s k i m*. Nie są one – deklarowano – i nie mogą stać się zwykłym oddziałem armii austriackiej².

27 sierpnia 1914 roku naczelny wódz armii austro-węgierskiej, arcyksiążę Fryderyk, wydał rozkaz o powołaniu Legionów Polskich. W ich skład zostały również zaliczone, działające już w Królestwie Polskim, oddziały strzeleckie.

Ogólne zasady organizacji Legionów Polskich przewidywały utworzenie dwóch Legionów: we Lwowie (Legion Wschodni) i Krakowie (Legion Zachodni). Każdy z nich miał się składać z 8 batalionów piechoty po 1000 ludzi i z 2–3 szwadronów po 150 kawalerzystów oraz jednego batalionu uzupełniającego. W Legionach mogli służyć Polacy z Galicji zwolnieni od wszelkiej służby wojskowej i ochotnicy z Królestwa. Każdy legion otrzymał austriackiego dowódcę (generała narodowości polskiej); legioniści mieli składać przysięgę według formuły austriackiego pospolitego ruszenia.

W Legionach miał obowiązywać język polski jako służbowy, mundur strzelecki (siwa kurtka, „maciejówka” z orzelkiem) z czarno-żółtą opaską na prawym ramieniu (odrzuconą spontanicznie przez legionistów). Niżsi oficerowie (do dowódcy kompanii włącznie) mieli być „wybrani” (czyli mianowani przez dowództwa legionowe), wyżsi – mianowani przez Naczelną Komendę Armii austro-węgierskiej na wniosek komendantów Legionów. Rangi oficerskie miało przyznawać austriackie Ministerstwo Obrony Krajowej. Pułk strzelców Piłsudskiego miał być przemianowany na 1 pułk Legionu Zachodniego.

Komendantem Legionu Zachodniego mianowano austriackiego emerytowanego generała Rajmunda Baczyńskiego, szefem sztabu kpt. Włodzimierza Zagórskiego, komendantem Legionu Wschodniego, gen. Adama Pietraszkiewicza, szefem sztabu kpt. Dionizego Jasienickiego. Od 22 września 1914 roku funkcję komendanta Legionów pełnił gen. Karol Trzaska-Durski.

Legion Wschodni, składający się z kilku tysięcy ochotników, wkrótce uległ rozbiciu. Na skutek bowiem propagandy endeków, którzy zwątpili w militarne triumfy Austrii i wystąpili z Naczelnego Komitetu Narodowego, Legion Wschodni rozszedł się, nie chcąc złożyć narzuconej przez Austriaków przysięgi na wierność Franciszkowi Józefowi I. Z jego pozostałości sformowano 3 pułk, który wraz z 2 pułkiem wszedł w skład utworzonej później (w 1915 roku) II Brygady Legionów i walczył w 1914 i 1915 roku w Karpatach Wschodnich, m.in.: pod Mołotkowem, Rafajłową i Kirlibabą. Mimo że istniał już tylko jeden legion, zachowano pierwotną nazwę formacji – Legiony Polskie.

² Cyt. za: W. Suleja, *Orientacja austro-polska w latach I wojny światowej (do aktu 5 listopada 1916 roku)*, Wrocław 1992, s. 84.

Powołanie Legionów uratowało wprawdzie byt oddziałów strzeleckich, ale pozbawienie ich godności żołnierzy polskich wojsk powstańczych oraz włączenie ich do armii zaborczej, i to na prawach formacji pospolitego ruszenia, odbiło się na ich psychice. Społeczeństwo zaboru rosyjskiego nie doceniło ich poświęcenia i wiary w przyszłość, a Austriacy, gotowi korzystać z żołnierskiego wysiłku, nie zamierzali podejmować zobowiązań wobec sprawy polskiej. Strzelcy-legioniści czuli się zatem osamotnieni, ale i lepsi, szlachetniejsi od tej części narodu polskiego, która lojalnie wykonywała powinności narzucone przez zaborcze państwo. Jednocześnie wzrastał wśród nich szacunek dla Piłsudskiego, przeradzający się w kult wodza.

W życiu codziennym odrębność oddziałów dowodzonych przez Piłsudskiego podkreślały istotne szczegóły. W oddziałach tych panowały bardzo demokratyczne stosunki. Dowódcy plutonów i kompanii kwaterowali razem z podwładnymi, jedli z tego samego kotła, sami nosili swoje bagaże i nie mieli ordynansów. Początkowo nie istniały stopnie oficerskie, lecz tylko funkcje dowódcze komendanta kompanii, batalionu itp. Gdy utworzenie Legionów i konieczność szerszych kontaktów na zewnątrz zmusiło do używania stopni także w 1 pułku, to stopnie te nadał sam Piłsudski, nie uzgadniając tej kwestii z Komendą Legionów i sztabami austriackimi.

Zamiast nazwisk używano nadal pseudonimów z organizacji przedwojennych, m.in. ze względu na dużą liczbę Królewaków, których obowiązywała konspiracja, w razie znalezienia się w rękach Rosjan groziły im bowiem surowe represje. Orzelek strzelecki nie miał korony, a przy wzajemnym zwracaniu się do siebie, wszystkich żołnierzy obowiązywała forma „obywatel”. Obowiązywało też tradycyjne salutowanie dwoma palcami.

Piłsudczyków łączyły więzy szczególne, niespotykane w innych formacjach. Swoje stosunek do otaczającej rzeczywistości zawarli m.in. w poezji, a przede wszystkim w pieśniach i piosenkach. Nieograniczonym zaufaniem obdarzali swojego Komendanta. Obowiązywała zasada nieuznawania rozkazów austriackich (nominacyjnych, awansowych) bez zatwierdzenia przez Piłsudskiego. W pierwszym okresie wojny wszyscy oficerowie pobierali jednakowe, bez względu na stopień, niewielkie uposażenie, przekazując resztę otrzymywanej sumy na działalność niepodległościową.

Po zmianach przyśpieszonych przejściem na utrzymanie austro-węgierskiego sojusznika Legiony Polskie stawały się sprawnymi formacjami wojskowymi. Przez austriackie władze wojskowe były jednak traktowane jako oddziały drugorzędne.

Wydarzenia na frontach bojowych poważnie zakłóciły planowane organizowanie Legionów. Wprawdzie wojska niemieckie, broniąc Prus Wschodnich, rozbiły w ostatniej

dekadzie sierpnia rosyjską armię gen. Samsonowa w bitwie pod Stębarkiem (zwaną bitwą pod Tannenbergiem 26–30 sierpnia 1914 roku), a we wrześniu wyparły z Prus armię gen. Rennenkampfa, ale walki na froncie rosyjsko-austriackim przebiegały raczej niepo-myślnie. Na początku września, w wyniku klęski wojsk austriackich w bitwie na wschód od Lwowa (Lwów zajęli Rosjanie 3 września) nastąpił odwrót całego austriackiego frontu, który ogarnął także południową Kielecczynę, gdzie operował 1 pułk piechoty, dowo-dzony przez Piłsudskiego.

10 września pułk po ponownym, tym razem trzytygodniowym, pobycie w Kielcach wycofywał się, idąc w straży tylnej 1 armii gen. Dankla na Szczucin. Strzelcy oraz znaj-dujące się na ich skrzydłach oddziały austriackie broniły linii komunikacyjnych odcho-dzących wojsk przed korpusem jazdy gen. Nowikowa. Wśród potyczek pułk przeszedł w okolice ujścia Dunajca i Nidy do Wisły. Podczas odwrotu z Kielc przy przekraczaniu Wisły w Szczucinie pułk został przebrojony w nowoczesne pięciostrzałowe karabiny sys-temu Mannlicher. Obronę odcinka między ujściem Dunajca i Nidy do Wisły, która miała m.in. osłonić przegrupowanie się wojsk austriackich do nowej ofensywy, nakazano prowa-dzić działaniami zaczepnymi, do czego zastosował się tylko pułk Piłsudskiego.

16 września wieczorem Komendant postanowił przejść na lewy brzeg rzeki i opanować Nowy Korczyn. Walki w rejonie Nowego Korczyna i Opatowca trwały do 24 września.

Następnie oddziały Piłsudskiego przeszły z lewego na prawy brzeg Wisły, po kilku jednak dniach wróciły na teren Królestwa. W skład pułku wchodziły: I batalion Albi-na Satyra-Fleszara, II batalion Mieczysława Norwida-Neugebauera, III batalion Edwarda Śmigłego-Rydza, IV batalion Tadeusza Wyrwy-Furgalskiego, V batalion Michała Kara-siewicza-Tokarzewskiego, szwadron kawalerii Władysława Beliny-Prażmowskiego, kom-pania saperów Mieczysława Dąbkowskiego i nieco później zorganizowany z przybyłych z Krakowa kompanii uzupełniających (wiedeńskiej i rzeszowskiej pod dowództwem Mariana Kukiela) VI batalion Kazimierza Herwina-Piątka.

28 września armia niemiecka i austro-węgierska podjęły ofensywę w kierunku Warsza-wy i Dębłina. Uczestnicząc w niej, pododdziały 1 pułku ruszyły w kierunku na Sandomierz, docierając 8 października do Jakubowic nad Wisłą (koło Opatowa). W Jakubowicach Pił-sudski nie pytając o zgodę Komendy Legionów, samodzielnie nadał w swoich oddziałach oficerskie stopnie wojskowe. Część z tych nominacji została zatwierdzona przez austriac-kie władze wojskowe, inne – choć niezatwierdzone – nieoficjalnie honorowano, podobnie jak oznaczenia stopni oficerskich, inne niż w pozostałych oddziałach legionowych.

Początkowo ofensywa austriacko-niemiecka miała duże powodzenie; po dwóch tygodniach Austriacy dotarli do Wisły między Dęblinem a Sandomierzem, a Niemcy zajęli Łódź, Grójec i docierali do Mszczonowa i Łowicza. Opanowanie Warszawy wydawało się możliwe. W tym okresie Niemcy liczyli na polską partyzantkę i działalność dywersyjną, skierowaną przeciwko Rosji. Jesienią 1914 roku doszło do chwilowej współpracy polsko-niemieckiej. Niemcy wyrazili przejściowo zgodę na werbunek do Legionów na obszarze działania 9 armii. Na podstawie umowy zawartej ze sztabem niemieckiej 9 armii, przewidującej ewentualne wkroczenie do Warszawy oddziałów polskich, Piłsudski skierował tam najpierw swoją kawalerię i II batalion (13 października), a potem jeszcze IV batalion (18 października). Podeszły one wśród walk aż pod Łowicz i Grójec.

Jednakże w wyniku potężnej kontrofensywy rosyjskiej, rozpoczętej już 16 października z okolic Dębina, Warszawy i rejonu ujścia Bzury do Wisły, Niemcy zostali odepchnięci spod Warszawy i cały front cofnął się w kierunku Krakowa i Śląska. Rosjanie odzyskali Łódź, Piotrków, Częstochowę i Kielce. Załamanie się ofensywy niemieckiej położyło kres zbliżeniu polsko-niemieckiemu, które i tak z uwagi na różne cele obu stron przypuszczać nie mogłoby być trwałe.

Odpierając ataki Rosjan, oddziały legionowe stoczyły w dniach 22–26 października ciężkie i krwawe bitwy pod Laskami i Anielinem. Następnie w czasie walk odwrotowych część strzelców dowodzona przez kpt. Ottokara Brzozę-Brzezinę (Czecha z pochodzenia), kpt. Tadeusza Wyrwę-Furgalskiego i kpt. Albina Satyra-Fleszara biła się pod Krzywopłotami, na północ od Olkusza (16–19 listopada), w składzie 46 dywizji austriackiej Obrony Krajowej.

Pozostali razem z Piłsudskim 8–11 listopada wykonali bardzo ryzykowny, świetnie przeprowadzony przemarsz, wycofując się między wojskami rosyjskimi przez Ulinę Małą do Krakowa. Marsz w terenie w znacznym stopniu pozbawionym lasów był nadzwyczaj ryzykownym przedsięwzięciem. Staczając potyczki z rosyjskimi patrolami i placówkami, klucząc i manewrując brawurowymi marszami nocnymi niemal do granicy wyczerpania sił, Piłsudski przeprowadził główne siły swojego pułku (bataliony I, III, V) spod Wolbromia do Krakowa (11 listopada). Prowadząc strzelców do starej stolicy Polski, Piłsudski złamał wydany mu rozkaz. Obawiał się, iż lojalna postawa zaprowadzi jego żołnierzy razem z cofającymi się armiami austro-węgierskimi na Morawy lub Śląsk, a tego zamierzał uniknąć nawet za cenę zagłady swojej formacji, byle na własnej ziemi. Zakończony sukcesem przemarsz podniósł wartość i wiarę w siebie Piłsudskiego i jego żołnierzy.

Po krótkim odpoczynku w Suchej, pułk został przerzucony na linię Chabówka–Nowy Sącz i wziął udział w przeciwnatarciu austriackim, zakończonym odebraniem wojskom rosyjskim Nowego Sącza. Tymczasem mimo niezadowolenia z samodzielnej akcji pod Uliną 15 listopada rozkazem naczelnego wodza armii austro-węgierskiej, arcyksięcia Fryderyka, Józef Piłsudski został mianowany brygadierem: „Komendantowi 1 pułku Legionów Polskich Piłsudskiemu za jego wybitne zasługi w obliczu wroga... nadaję stopień brygadiera Legionu Polskiego”. Nominacja z rąk naczelnego wodza świadczyła o specjalnym statusie Piłsudskiego, jakim darzyły go władze austriackie. Wyróżnienie przyszło także od cesarza niemieckiego, który nadał Piłsudskiemu i kilku oficerom 1 pułku Krzyże Żelazne. Komendant i jego żołnierze nie cenili sobie austriackich i niemieckich odznaczeń.

Nadanie Piłsudskiemu stopnia brygadiera jego żołnierze traktowali jako wstęp do rozwinięcia 1 pułku Legionów w brygadę. I rzeczywiście, po walkach na Podhalu, gdzie pułk uczestniczył w dniach 3–14 grudnia, w wielkiej bitwie pod Limanową, 19 grudnia 1914 roku, została utworzona I Brygada Legionów, a dowództwo nad nią objął Józef Piłsudski.

Po krótkim odpoczynku w Nowym Sączu I Brygadę Legionów skierowano pod Tarnów, gdzie nastąpiło przełamanie frontu austriackiego. Rzucona na pola wsi Łowczówek alarmowym rozkazem z Nowego Sącza, podlegając dowództwu XI korpusu, zajęła odcinek wśród lesistego i górzystego terenu, odpierając pod dowództwem pplk. Sosnkowskiego w dniach 22–25 grudnia 1914 roku zaciekle ataki doborowej dywizji rosyjskiej wchodzącej w skład XXI korpusu armijnego. Jednocześnie legionieści przeprowadzali brawurowe kontrataki i wypady, biorąc do niewoli kilkuset żołnierzy i kilkunastu oficerów wraz z całym sztabem pułku (132 benderski pułk piechoty).

Stoczony tutaj bój był najkrwawszy z dotychczasowych i wymagał szczególnego wysiłku. Miał wszakże ważne znaczenie w ramach działań ogólnych dla zatrzymania głównych sił rosyjskich na linii Dunajca i Nidy. W tym boju młody żołnierz wykazał tak znakomitą postawę, że Piłsudski w rozkazie dziennym z dumą mówił o trudności, gdy spośród „ogółu dzielnych i mężnych” wybrać miał i wymienić „najbardziej godnych chwały”. Legionieści zaimponowali też Austriakom. Sąsiadujący z odcinkiem legionowym generałowie austriaccy szukali pomocy u oddziałów I Brygady, oddając się pod komendę Kazimierza Sosnkowskiego, szefa sztabu I Brygady, który prowadził tę bitwę w czasie nieobecności Komendanta Piłsudskiego.

Następnie brygada wróciła na odpoczynek i kwaterowała we Wróblowicach pod Krakowem, Lipnicy Murowanej i Górnej oraz w Zdoni, a potem od 24 stycznia 1915 roku

w Kętach. W Kętach Piłsudski zakończył przekształcanie pułku w I Brygadę Legionów, rozpoczęte w Nowym Sączu. Nie uwzględnił przy tym austriackich rozkazów. Zamiast – jak oczekiwali Austriacy – dwóch pułków, sformował trzy, ale o dwóch, a nie – jak przewidywał etat – trzech batalionach. Pułkami dowodzili: mjr Edward Śmigły-Rydz, mjr. Leon Berbecki i mjr. Mieczysław Ryszard-Trojanowski. W składzie brygady znalazł się również dywizjon ułanów rtm. Władysława Beliny-Prażmowskiego, dywizjon artylerii kpt. Otokara Brzozy-Brzeziny, kompania saperów por. Mieczysława Dąbkowskiego, oddział żandarmerii por. Kordiana Zamorskiego, urząd prowiantowy por. Aleksandra Litwinowicza. Wielkość przewidzianą etatem przekroczył również sztab brygady, traktowany przez Piłsudskiego jako instytucja szkoląca oficerów oraz centrum dyspozycyjne prac politycznych. I Brygada, licząca w tym czasie około 6000 żołnierzy, stała się małą kadrową armią, zdolną w sprzyjających warunkach szybko rozwinąć się w narodową siłę zbrojną.

3 marca 1915 roku I Brygada Legionów stanęła na linii obronnej, na stanowiskach bojowych nad Nidą. Stoczyła krwawe boje m.in. pod Sobowicami, Kopernicą i Pińczowem.

Uderzenie wojsk niemieckich i austro-węgierskich na Podkarpaciu 2 maja doprowadziło do przerwania frontu rosyjskiego pod Gorlicami i odwrotu armii rosyjskiej za Lwów (odzyskany 22 czerwca), a następnie do zajęcia Warszawy (5 sierpnia) i całego Królestwa Polskiego. Wojska państw centralnych nie uzyskały jednak rozstrzygnięcia w skali strategicznej.

W związku z tą wielką ofensywą 11 maja I Brygada Legionów przekroczyła Nidę i rozpoczęła marsz za cofającym się nieprzyjacielem. W dniach 16–23 maja brygada wzięła udział w ciężkiej bitwie pod Konarami i Kozinkiem. Bitwa ta wykazała raz jeszcze znakomite walory polskiego żołnierza i przyniosła pochwały oraz wyrazy uznania ze strony wyższych władz. Miarą jej zaciętości są straty brygady – 89 zabitych i bardzo wielu rannych, przy czym wśród zabitych było kilku znakomitych oficerów, m.in. kpt. Kazimierz Herwin-Piątek, a wkrótce potem por. Franciszek Pększyc-Grudziński.

Następnie brygada, idąc po bitwie pod Konarami przez Tarłów, Lublin (pierwsza do miasta wkroczyła kawaleria rtm. Beliny-Prażmowskiego) dotarła do Wysokiego Litewskiego, stąd zaś przerzucona została na Wołyń, gdzie rozpoczęła kolejny okres swych walk.

Zbigniew Grabowski, Witold Rawnski



Brygadier Piłsudski



Oficerowie strzeleccy w sierpniu 1914 r. w Kielcach



Grupa oficerów



Sztab plutku



Kompania



Naczelný wódz armii austro-węgierskiej arcyksiążę Fryderyk w rozmowie z Brygadierem Piłsudskim



Brygadier Piłsudski ze sztabem

PIERWSZE BITWY

KIELCE, PAŁAC GUBERNATORA, KWATERA GŁÓWNA, 23 SIERPNIA

Siódmy, siódma godzina, siedem minut, wieczór: zanotowałem w dzienniku z pewnym podniosłym wzruszeniem chwilę, kiedy nie tajemnie, ale otwarcie, z bronią w ręku przekroczyliśmy w Michałowicach granice Królestwa. W Słomnikach zastaliśmy już naszą załogę, w Miechowie oddział, który szedł na Raclawice i Ojców, nasze władze narodowe, mieszczące się w domu, w którym zamieszkiwał jeszcze przed kilku dniami naczelnik powiatu, w Jędrzejowie toż samo. Stan mieszkań, stan wszelkich instytucji rządowych świadczył wyraźnie, że były one opuszczone w panicznym popłochu. Popłoch ten ogarnął nie tylko urzędników, lecz i wojska. W szybkim pochodzie swoim naprzód nie mogliśmy po prostu żadnego oddziału dogonić. „Wczoraj jeszcze byli, a dziś już ich niema”, otrzymywaliśmy stałą od mieszkańców odpowiedź. Wreszcie dopiero dnia 12 bm. o godz. 3.00 oddział nasz, składający się z trzech kompanii, ogółem 350 ludzi, przy odgłosie pierwszych strzałów, spowodowanych utarczką naszej kawalerii, liczącej 12 koni, na północ od Kielc, przez krakowską rogatkę, ulicą Dużą, a potem Kolejową wkroczył do Kielc. Przeciągnął przez pełne milczącej i zdumionej publiczności ulice i zajął dworzec.

W pałacu gubernatorskim rozpoczął urzędowanie nasz komisarz wojskowy i pierwszą jego czynnością było wydelegowanie dwóch żołnierzy do więzienia dla uwolnienia „politycznych”. Uwolniono czterech, kryminalnym pozdejmowano kajdany, kobietom zapewniono codzienny spacer, dozorcóm polecono ludzkie obchodzenie się z więźniami, skonfiskowano 7 rosyjskich karabinów i dwie paczki ładunków.

Po wkroczeniu do Kielc, główny komendant wraz komisarzem wojskowym i szefem sztabu złożył wizytę biskupowi ks. Łosińskiemu, po czym w sprawach natury politycznej odjechał do Krakowa. Władzę objął szef sztabu, który około godziny 4.00 kolejno otrzymał dwa raporty, że na wschodzie miasta ukazały się gęste oddziały kozaków. Siły nasze były zbyt szczupłe, byśmy mogli dostatecznie obsadzić wszystkie wyloty, wiodące do Kielc. To też w kilka minut potem wraz z odpowiednim meldunkiem, trzask karabinów na ulicach zasygnalizował obecność wroga w mieście. Strzały wzmagaly się, wreszcie posypaly się jak garście grochu. To automobil z karabinem maszynowym w szalonym pędzie, zalewając kulami ulice, uderzył na dworzec, ale przywitany salwą dyżurnego plutonu zawrócił. Gdy mijal hotel Bristol, nasz oddział konny, który powróciwszy z utarczki, zajął tam kwatery, celnymi strzałami położył trupem dwóch jadących oficerów, a dwóch ciężko ranił. Szofer ostatkiem sił zdołał uprowadzić automobil za miasto, tam padł do rowu, pojazd się roztrzaskał, a ładunki karabinu stały się naszym łupem. Na ulicach miasta trwał jeszcze z godzinę zażarty bój, utarczki naszych posterunków strzeleckich i patroli konnych. Wreszcie wszystko ucichło. Kozacy, straciwszy kilkunastu rannych i zabitych, cofnęli się z miasta. W czasie tej bitwy dowódca oddziału konnego, Belina, ranił śmiertelnie pałaszem kozackiego oficera. Przekonawszy się, że mamy przed sobą większe siły, prawie – jak się później okazało – dziesięciokrotnie przewyższające nasze, brygadę jazdy Nowikowa, brygadę straży granicznej i baterię armat, szef sztabu postanowił wybrać dogodniejszą pozycję, niż ciasne ubikacje dworca, otoczonego domami, które zwężyły pole obstrzału i nie pozwalały rozwinąć się oddziałom.

Na biwak został wybrany położony na wzgórku za plantem kolejowym, o tysiąc kroków od dworca, folwarczek Czarnówek. Pod strzałami przeprowadzono przez plant tabor, potem wszystkie oddziały oprócz dwóch plutonów, które zostały na dworcu.

Zapadła noc, pogodna, gwiazdzista, ale chłodna. Rozstawiono strażę na otoczonym chatami prostokacie podwórza. Z karabinami u boku rozłożyły się na gołej ziemi, jak grupy z lawy, uśpione kompanie. Zapanowała głucha cisza. Czasem tylko brzęknął pałasz przesuwającego się oficera, rozlegało się niecierpliwe żucie wędzidla. Na dworcu w ciągu nocy przeprowadzono organizację obrony, umocniono dworzec, na ulicach wiodących do niego ustawiono barykady. Dwukrotny huk, jak wystrzał armatni, zamącił nagle nocną ciszę. Ocknął się biwak i okazało się, że z powodu, iż na stacji Moskale przygotowują pociąg, by dostawić świeże wojska, żołnierze nasi wysadzili tor na skrzyżowaniu szyn.

W północy, w półmarzeniu, patrzyliśmy, jak bledną i gasną kolejno gwiazdy. Wreszcie oblokło się niebo seledynową poświatą, lekkim różem zabarwiły się obłoki i podniósł

się różany świt, a wraz z nim podniosła się w piersiach radość marzenia, że oto stoimy z bronią w ręku w obliczu śmiertelnego wroga, by dać mu godną wolnego człowieka odpowiedź: strzał za strzał, cięcie za cięcie.

Gdy rozwidniło się zupełnie, przez lornetki, a nawet gołym okiem, można było na okolicznych wzgórzach obserwować ruch rosyjskiej konnicy, a jednocześnie od naszych patroli konnych, agentów i życzliwej ludności cywilnej poczęły nadchodzić obfite raporty, że mamy przed sobą w Szydłówku, w odległości dwóch kilometrów, skonsygnowane dwa pułki kawalerii, huzarów i kozaków oraz brygadę straży pogranicznej. Z ruchów tych wojsk okazywało się wyraźnie, że wiążą nas i niepokoją na froncie, aby przeprowadzić ruch oskrzydłający i otoczyć wokół.

Miałem sposobność mieć chwilę rozmowy z szefem sztabu i, dowiedziawszy się o sytuacji, podziwiałem jego spokój, a nawet żartobliwy humor wobec tak niepomyślnych wieści. Około godziny 8.00 od strony Szydłówka posunął się ku nam gęsty oddział tyralierski spieszonyj konnicy, ale na widok rozwijającej się naszej kompanii cofnął się tak szybko, że żołnierze zdolali wymienić zaledwie kilka strzałów. Podobny manewr zauważono ze strony wschodniej, tak że trzeba było dawać baczenie na wszystkie trzy fronty. Wkrótce otrzymane od naszych patroli konnych meldunki zaświadczyły, że ruch okalający odbywa się w całej pełni: mianowicie w Niewachlowie i pod Szczuchowicami pojawiły się silne oddziały, złożone z dwóch szwadronów, także mniej więcej zauważono w Domuszowicach i Zmiorzu.

Na liniach wzgórz otaczających Kielce snuły się sylwetki konnicy wroga, w odległości jednak nieosiągalnej dla karabinowego strzału. Pomimo takiej przewagi szef sztabu postanowił przyjąć bój, by nie demoralizować przedwczesnym odwrotem młodych żołnierzy i ochrzcić ich ogniem. Całą jego troską stało się utrzymanie linii odwrotu przez Karczówkę, ku szosie chęcińskiej i w tym celu wysłał na tę drogę całą rozporządzalną jazdę. Około 9.00 zjawił się oddział konny Sokoła w sile 46 koni.

Przyjąwszy raport szef spytał: Czy konie zdrożone ?

— Nie! — zabrzmiała odpowiedź.

— To może by obywatele chcieli spróbować kozaków. Myśmy ich już próbowali.

I oddział został pchnięty na skrzydło, by utrzymać kontakt z wrogiem.

Tymczasem nadszedł meldunek, że na linii odwrotu pojawiły się kozackie patrole, że wróg zajmuje tyły, że koło się zaczyna zamykać i wreszcie najgroźniejszą wieść, że na wzgórzach Szydłówka wróg ustawia baterię artylerii. Jakoż wkrótce na grzbiecie wzgórza

zauważono ruch, Moskale zupełnie swobodnie, bez maskowania, ustawiali działa, wiedzieli bowiem, że u nas armat nie ma.

Oddziały nasze stanęły pod bronią, oczekując na dalszy bieg wypadków i rozkazy, i przysłuchując się strzałom, spowodowanym utarczkami naszych patroli.

Koło godziny 11.00 podniósł się gorący dymek — moment ciszy a potem huk. Raz wraz systematycznie spokojnie poczęły bić armaty, — z początku na naszą szczupłą linię tyralierską, wysuniętą w kierunku wschodnim, a gdy została granatami spędzona na pola, armaty zwróciły się ku folwarkowi.

Plutonami poczęła przystrzeliwać się bateria. Pierwsze strzały padły o sto kroków przed nami, wznosząc olbrzymi słup dymu, wreszcie z jakimś żelaznym świergotem wpadł granat w sam środek podwórza, roztrzaskał wóz i rozerwał konia. I wówczas dopiero rozległy się donośne komendy, zarządzające odwrót. Po uspokojeniu popłoszonych koni ruszyły naprzód tabory, między którymi był wóz ze 160 kilogramami dynamitu, potem kolumna, na końcu sztab jako ariergarda jeden pluton rozsypany w tyraliery. Tymczasem baterie grzmiały i grzmiały. Poryta ziemia, drobne gałązki drzew obsypywały ludzi, ale kule pękających szrapneli mijały nas szczęśliwie. Oddział w zupełnym porządku wciągnął się w lasy Karczówki, gdzie spodziewał się zastać kozaków i utorować drogę bagnetem.

Ale przerażeni mężną postawą oddziału kozacy pierzchli, więc minąwszy Bialogoń, wydostaliśmy się na szosę. Ogień armatni trwał ciągle, poczęto bowiem ostrzeliwać dworzec, gdzie zabarykadowali się strzelcy, by bronić się do ostatka. Skoro jednak granaty uszkodziły sąsiednie domy, cofnęli się, przejechali część drogi na drezynach i połączyli się z nami. Gdy byliśmy w pobliżu Chęcín, podniosły się kurzawy gorącego dymu, to płonął Czarnówek, z którego dziś pozostały jedynie opalone topole.

W bitwie dniach 12–13 zginęło 38 ludzi ze strony wroga, my utraciliśmy 10 zabitych i rannych.

Pod Chęcínami spotkaliśmy batalion naszych strzelców i komendanta głównego, który nad połączonymi siłami objął dowództwo. Wkrótce przybył austriacki oddział strzelców cyklistów i dwa szwadrony jazdy. Siły te stanęły na wzgórzach pod Chęcínami, oczekując ofensywy ze strony Moskali, którą sygnalizowały meldunki patroli konnych. Gdy do wieczora to nie nastąpiło — wojska nasze cofnęły się na dogodniejszą pozycję na południowy, prawy brzeg Nidy, by bronić mostów i przejścia przez rzekę. Następnego dnia, tj. 14 sierpnia rano, rozmieszczenie naszych było następujące: centrum stanowiła kompania strzelców austriackich, prawe skrzydło jeden batalion naszych Strzelców, lewe drugi.

Prócz tego detaszowano z sił naszych po jednej kompanii na skrajne skrzydła — na lewem do Żernik, na prawem do mostu kolejowego na Nidzie.

Nad ranem Moskale poczęli atakować, ale bardzo nieśmiało i po dwugodzinnej bitwie zostali odparci, przy czym z ręki strzelców padło ich dziewięciu, po naszej stronie jeden lekko ranny.

W tym czasie przybył do nas uciekinier z armii rosyjskiej, Polak, oficer huzarów, od którego dowiedzieliśmy się, że wojska rosyjskie były już nad Wisłą pod Solcem, ale na wieść o wkroczeniu Strzelców naszych otrzymali rozkaz dążyć ku nam forsownym marszem, by nas zniszczyć, przy czym wyprawie tej nadano charakter ekspedycji karnej, tak że pod Kielcami mieliśmy przeciwko sobie brygadę jazdy, brygadę straży pogranicznej, baterię armat, oraz zdążającą rezerwę 14 dywizji, a po zajęciu Kielc został wydany rozkaz: zdobyć „wo czto by to ni stało” tj. nieodzownie Jędrzejów i zrównać go z ziemią. Istotnie zagony kozackie ruszyły pod Jędrzejów, ale skończyło się tylko na drobnych utarczkach Strzelców naszych po okolicznych lasach. Jędrzejów został przez nas ocalony, a dn. 15 bm. przybycie nowych sił naszych oraz nadciągająca sąsiednią szosą dywizja austriacka, zmusiły Moskali do cofnięcia się na całej linii. W potyczkach pod Jędrzejowem padło z rąk strzelców 7 kozaków, my nie ponieśliśmy strat żadnych.

O naszej dotychczasowej działalności generał austriacki wyraził się publicznie, że Strzelcy sprawnością i męstwem niczym nie ustępują regularnej armii.

Od mieszkańców Kielc dowiedzieliśmy się, że oficerowie rosyjscy przerażeni są działalnością tej, jak nas nazywali, zanim poznali na własnej skórze — „bandy”, a odwrót nasz spod Kielc podziwiają, jako mistrzostwo sztuki wojennej.

Ten pierwszy chrzest rwących granatów i pękających szrapneli, przyjęty ze spokojem, męstwem, rozżagwił [red. rozpalil] płomienne serca naszych żołnierzy, a na ustach zastygł jeden wyraz: naprzód! Toteż z pewnym smutkiem przyjęty został rozkaz wstrzymujący nasz pochód z powodu organizowania się w Krakowie Legionów. Ale smutek ten pierzchnął szybko, zaufanie bowiem wojsk do władzy naczelnej jest bezgraniczne. Dziś dumą i radością wzbierają dusze nasze, że nasze energiczne wystąpienie, strzały nasze, podniosły zdławione niewolą piersi Narodu, że ocknął się zdrowy instynkt, zabiło żywym tętnem rycerskie serce Polski, że dłoń zniewolona, stargawszy pęta, zbroi się świetnym lśnieniem zwycięskiego miecza, a nasze stopy ozdobione dźwięczną ostrogą wstępują w bohaterskie przodków strzemię.

Gustaw Daniłowski



Szef sztabu Kazimierz Sosnkowski



Przejsie Wisły pod Rachowem



Spoczynek po bitwie



III kompania wiedeńska



Biwak w Krymkach

CZTERNASTODNIOWA DZIAŁALNOŚĆ STRZELCÓW POD KOMENDĄ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

Według otrzymanych meldunków okazuje się, że kawaleria rosyjska przysunęła się ku nam od strony Opatowa. W razie ataku spada na nas obowiązek bronięcia odcinka okopu północno-wschodniego. Tak brzmiały ostatnie słowa odprawy, danej nam w pałacu gubernatorskim w Kielcach dnia 9 IX około godziny 8.00 wieczorem. Wiadomość ta nie wywarła żadnego wrażenia, miesaliśmy bowiem poprzednich dni meldunki daleko groźniejsze i byliśmy pewni, że, zwłaszcza o ile otrzymamy parę dział, potrafimy się utrzymać w mieście, w którym okopaliśmy się i zagospodarowaliśmy, obierając ten punkt jako bazę operacyjną spodziewanego pochodu naprzód ku Warszawie.

Zasiedliśmy spokojnie do kolacji, gdzie wkrótce zapanował ten wesoły, niefrasobliwy nastrój, jaki cechuje nasz oddział, ten oddział, który pierwszy wszedł do Królestwa, już się bił i nauczył się kpić ze świszczących nad głowami granatów i pękających szrapneli. Dopiero około 10.00 ogarnęła nas pewna trwoga, rozeszła się bowiem głucha wieść, że z rozkazu pochodzącego z Krakowa, mamy bez boju opuszczać Kielce, a ruch w gabinecie komendanta potwierdzał, że istotnie coś nowego zaszło. Wkrótce też zjawił się wezwany adiutant i oświadczył nam, że nie mamy kłaść się spać, gdyż o 4.00 rano następuje wymarsz. W pół godziny przyszedł inny rozkaz, że wyruszamy dopiero o 8.00, możemy więc spać — oprócz dwóch adiutantów, którzy wyruszyli natychmiast, aby ściągnąć z pozycji wyrzucone dalej, poza Kielce placówki. W rezultacie nazajutrz 10 XI dopiero około południa większa część oddziału pod komendą zastępcy komendanta, ob. Sosnkowskiego, wyruszała wraz z oddziałem niemieckim, przy którym pełniła uciążliwą służbę obrony. Komendant, ob. Piłsudski, wymaszerował z resztą oddziału dopiero około drugiej, postanowił bowiem, jak się wyraził, z nagromadzonych zapasów ani jednego rzemyka nie pozostawić Moskalom. Dużo więc czasu zajęło poruszenie olbrzymiego taboru II rzędu, około stopięćdziesiąt wozów.

Z ciężkim sercem, z uczuciem pewnej goryczy, żalu, a nawet wstydu opuszczaliśmy miasto, wiedząc, że gdy wyjdziemy, zajmą je z powrotem Moskale.

Pociechę przyniosła wiadomość, że idziemy stoczyć bitwę, pociechę zresztą wątplą, bo według naszych wywiadów, które prawie nigdy nie zawodziły, spodziewaliśmy się najwyżej spotkać forpocztę jazdy rosyjskiej, które na nasz widok pierzchną jak zwykle i skończy się na krótkiej wymianie kilku strzałów. Szliśmy jednak posłusznie z Kielc prosto na południe i pod wieczór dotarliśmy do Morawicy. Marsz ten nie był zbyt ciężki. Dzień był jasny, nieco chłodny, pogodny, dobra droga, przestrzeń niezbyt wielka, zaledwie trzy mile.

W Morawicy było trochę pod względem noclegu niewygodnie. Odczuwaliśmy też brak chleba i, by go dostarczyć i nazajutrz przed świtem nakarmić żołnierzy, sprężysta nasza intendentura pracowała całą noc. Około piątej rano dźwignął się tabor, potem oddziały i odbył się szalony marsz 35-kilometrowy, z kilkugodzinnym zaledwie postojem w Chmielniku, w dzień prawie gorący, po złych drogach, w takiej kurzawie, że kolumny chwilami ginęły w żółtym pyłe i dawały znać o sobie tylko pieśnią, która prawie nie schodzi z ust strzelców i wyrывa się ze szczególną brawurą w chwilach, gdy ciężko.

„Strzelzen singen” dziwili się Niemcy, a czasem niepokoiли się, że grzmot głosów może sprowadzić wroga. Pod wieczór jednak, o kilka kilometrów od Wielkich Grabek, gdzie miał nastąpić nocleg, pieśni zamarły. Znużone kolumny posuwały się już prawie machinalnie, w śmiertelnej ciszy, najostrzejsze konie powlóczyły nogami, a po przydrożnych rowach coraz częściej dawały się zauważyć rozciągnięte cienie leżących nieruchomo ludzi. „Obywatelu — odzywał się czasem któryś z przechodzących oficerów — wstańcie, jesteście tuż, tuż”, ale cień ani drgnął. Nie wiadomo było, który śpi, który zemdlął, który może nie żyje. Kolumny jednak zatrzymywać niepodobna. O tych co padli, zatroszczać się sanitariusze. Idziemy dalej. Ostatni kilometr wydaje się miłą. Wreszcie stajemy u celu. Doktorzy na wozach z latarniami jadą zbierać maruderów. Komendant zarządza odprawę, odbiera meldunki od daleko patrolującej kawalerii, jemy kolację i wkrótce wszyscy walą się, gdzie się da, jak snopy na sen. Czuwają jedynie straże, nie śpią i intendenci. Komendant pozwala wstać dopiero o szóstej, by ludzie wypoczęli. I to wystarcza.

Nazajutrz wszyscy zdrowi, odświeżeni, stawiają się wesoło na zbiórkę i choć mży deszczyk, i niebo cale zaciągnięte jest mgłą wróżącą slotę, odzywają się radosne strzeleckie piosenki. Deszcz pada i pada, płaszczy nie ma, wielu w letnich mundurach, w rozciapanych butach, chłód przejmujący. Ale to nic, śpiewamy na rozgrzewkę. Mijamy drogi leśne, wreszcie zziębnięci i zmoczeni w nocy stajemy w Stopnicy. Gdzie pójdziemy dalej, nie

wiemy. Może do Opatowa, może pod Połaniec, gdzie sygnalizują nam obecność wroga. Wkrótce jednak okazuje się, że idziemy na Pacanów. Przeciągają się miny. Deszcz wydaje się zjadliwszy, bo bliskość granicy trwoży. Ciężko jest bowiem, wtargnąwszy na sto kilkadziesiąt kilometrów w głąb Królestwa, znaleźć się znowu w Galicji. W Pacanowie łączymy się z oddziałem prowadzonym przez zastępcę komendanta i witamy się tak radośnie, jakbyśmy się wieki nie widzieli.

Po półgodzinnym postoju idziemy dalej. Do szybszego pochodu nagłą nas władze austriackie, meldujące, że most pod Szczucinem ma być natychmiast spalony. Komenda nasza wysłała kurierów z wiadomościami, że wroga nie ma, że zarządzenie to jest przedwczesne — i most pozostaje. Mijamy straż austriackie, spotykamy trochę naszych strzelców, od których dowiadujemy się, że mamy tu zmienić Werndle na Mannlichery.

Bitwy, jak przypuszczaliśmy nie było, tylko drobna potyczka w Staszowie, gdzie zginął jeden nasz z konnego oddziału, rekrut z Kielc, Jan Jamrocz, któremu rosyjski karabin ani razu nie wystrzelił; po rozcięciu ładunków okazało się, że nie ma w nich prochu. Jamrocz został zabrany przez naszą jazdę i pochowany z honorami. Pod Beszową nasza ukryta placówka pierwszego batalionu przypuściła na sto kroków patrol z pięciu kozaków i dała salwę, od której jeden zginął, a drugi ranny został porwany przez towarzyszy. Świetny nasz marsz spod Kielc otrzymał wysokie pochwały komendy austriackiej w rozkazie dziennym do wojsk.

Dzień następny zajęło rozdawanie Mannlicherów, ciepłej bielizny i koców, które wreszcie nadeszły, a nazajutrz, tj. 16 IX rano cały oddział ruszył do Kozłowa, otrzymawszy zlecenie ochrony Wisły od ujścia Dunajca do Strojцова. Kawaleria nasza, wysłana naprzód, około południa minawszy Kozłów, posunęła się ku Borusowej, gdzie właśnie w tym czasie odbywała się przez Wisłę strzelanina pomiędzy posterunkiem żandarmerii austriackiej a patrolem jazdy rosyjskiej. Właśnie gdy nasz patrol przedni pod dowództwem plutonowego Orlicza mijał strzelających, kapral austriacki został ranny. Orlicz, odprowadziwszy swój patrol nieco w dół rzeki, wybrał spośród swych ludzi czterech najlepszych pływaków, rozebrał się sam do naga, kazał to samo uczynić ludziom i tylko z karabinami w opasaniu ładownic rzucili się w pław przez Wisłę. Pierwszy dotarł do brzegu sam Orlicz, gdy nagle usłyszał za sobą krzyk tonącego kawalerzysty, którego w lodowatej wodzie schwycił skurcz nóg. Orlicz rzucił się powtórnie w nurty, wyciągnął towarzysza i natychmiast piątka zupełnie nagich, do szpiku kości zziębniętych ludzi ruszyła na wywiad na Nowy Korczyn.

W tej chwili strzelanina pomiędzy wojskiem austriackim i rosyjskim ustała. Gdy patrol nasz podszedł pod Nowy Korczyn, ujrzał zupełnie sielski obraz — huzarów rosyjskich, piorących bieliznę. Orlicz kazał dać ognia, którym wywołał tak straszny popłoch, że dopiero po chwili opamiętania się naprzeciwko pięciu naszych wyruszyło trzydziestu spieszonych kawalerzystów z konną osłoną skrzydeł posuwającej się linii tyralierskiej.

Orlicz, lekko ranny w nogę, po wyczerpaniu wszystkich naboí cofnął się w nadbrzeżne łozy, kilku zaś Rosjan, a pomiędzy nimi dowodzący oficer, zostali strzałami wybici z szeregu.

Komendant nasz dowiedziawszy się o tym, co zaszło, kazał ukrytym w łożach dostawić łódką ubranie i pozostać po drugiej stronie rzeki do wieczora, nocą bowiem postanowił owoładnąć N[owym] Korczynem. W tym celu wysłane zostały za Wisłę dwa oddziały. Jeden — pod dowództwem ob. Rydza — przeprowił się na głównym przewozie z rozkazem owoładnięcia mostem na Nidzie, drugi — pod dowództwem ob. Norwida — przeprowił się niżej ujścia Nidy, by wyjść na północy kraniec Korczyna. Siły ogólne stanowiło czterystu kilkudziesięciu ludzi.

Marsz nocny odbył się bez przeszkód, gdyż, jak się okazało, nieprzyjaciół opuścił miasto i N. Korczyn bez wystrzału został zajęty przez nasze wojska.

Wobec tego, że następnego dnia 18 IX został do wojsk wydany ogólny rozkaz, że ochrona Wisły ma być traktowana nie jako czysta defensywa, lecz prowadzona w duchu ofensywy, komendant natychmiast rozkazał wzmocnienie oddziału w N[owym] Korczynie (w Królestwie na lewym brzegu Wisły), doprowadzając go do liczby 600, a zważywszy na to, że obrona niskiego prawego brzegu nie mogła być prowadzona bez zajęcia części wznoszących się na lewym brzegu pagórków od Winiar do Opatowca, promem w Opatowcu przeprowił wraz z jazdą nowy oddział, który zajął Opatowiec-Winiary, jazda zaś ruszyła na północ prawym brzegiem Nidy.

Dzień 18 minął spokojnie. Dopiero pod wieczór usłyszano głuchy łoskot armatnich strzałów od wschodu, gdzie również podniosła się wkrótce szeroka, wydłużona luna, a następnie przysły wieści o spaleniu mostu pod Szczucinem, o budowaniu jakoby jakiegoś drugiego mostu przez Rosjan w tych okolicach, wraz z nakazem niszczenia wszelkich przepraw, łódek i przewozów na Wiśle. Komendant nasz sprzeciwił się stanowczo ostatniemu rozporządzeniu, niweczącemu linię odwrotu naszym wojskom znajdującym się na lewym brzegu Wisły i, wzięwszy sprawę na własną odpowiedzialność, przy istniejących środkach przewozu postawił swoje warty. Zanim jednak zdążono to uczynić, część

przewozów została zniszczona, energiczne działanie naszych wojsk zdołało jednak uratować pomiędzy innymi statek Krystyna, który pod strzałami patroli kozackich nie chciał ruszyć ani w tył ani naprzód.

Spalenie mostu pod Szczucinem przez wojska austriackie, zarządzenie niszczenia przewozów mówiło wyraźnie, że Austriacy zrzekają się ofensywy i nie myślą iść wcale na lewy brzeg Wisły. Tak się istotnie stało: na terenie Królestwa za Wisłą cały czas działały jedynie nasze strzeleckie oddziały, zupełnie izolowane od wojsk austriackich, pozostawione same sobie.

Nazajutrz 19 od rana zaczęły nadchodzić meldunki o posuwaniu się patroli nieprzyjacielskich z dwóch stron, od Buska i Stopnicy, a około 2.00 padły pierwsze strzały, które, wzmagając się, zmieniły się w potyczkę pod N[owym] Korczynem. Moskale ostrzeliwali nas od Badrzychowic na drodze do Buska i od Ostrowiec na drodze do Stopnicy. Nasi utrzymując nieprzyjaciela w ostatnim kierunku, w pierwszym prowadzili atak i, oczyściwszy drogę od wroga, który ściągnął do lasu, znajdującego się pomiędzy wspomnianymi drogami, ruszyli atakiem na las. Ale tu ulewą kul przywitały naszych karabiny maszynowe: dwa w lasu, dwa zaś około Grot Małych, bijące gradem przeciwko naszym, broniącym się w Wielkich Grotach. Karabiny te powstrzymały atak na las, przy czym 1 pluton, stanowiący lewe skrzydło, ucierpiał względnie dużo, straciwszy w jednej chwili 5 ludzi — 1 zabitego i 4 rannych.

Od tej chwili do zmierzchu pozycje stron walczących nie zmieniały się wcale. Dopiero pod wieczór ogień nieprzyjacielski począł słabnąć, z czego korzystając, nasi dokończyli ataku i weszli za cofającym się wrogiem do lasu. Tu przed frontem znaleźli kilku zabitych z V pułku huzarów.

Z bitwy tej okazało się, że nasi ludzie nie odczuwają tego denerwującego wpływu, jaki wywiera pierwsze spotkanie z tak morderczym narzędziem, jak karabin maszynowy, że Rosjanie na ogół nietęgo strzelają i muszą mieć wadliwe ładunki, gdyż kule z karabinów maszynowych z odległości 800 kroków nie przebijały ciała na wylot. Powierzchowne te rany wywoływały weselość wśród naszych strzelców, którzy po nałożeniu opatrunku okrwawieni biegli ochoczo z powrotem na linię.

Po zwycięsko stoczonej potyczce oddział nasz, wystawiwszy wzmocnione forpocztę, wrócił na noc do N[owego] Korczyna. Jazda, wysłana w stronę Wiślicy, zniszczyła tam most, wzmacniany przez Rosjan i wypędziwszy kozaków zajęła to miasteczko. Przy tym nagłym napadzie kawalerii naszej na Wiślicę został ciężko ranny i wzięty do niewoli oficer-podesaul, dowodzący kozakami, który zmarł tegoż dnia. Ze znalezionych przy nim

papierów dowiedzieliśmy się, że należy do piątego orenburskiego pułku kozaków, który na początku wojny został przetranslokowany z Taszkientu do Warszawy. Z przebiegu bitwy i wywiadów obliczyliśmy, że tego dnia mieliśmy przeciwko sobie 5 szwadronów i sotnię, należące do różnych pułków piątej dywizji armii i piątego pułku orenburskich kozaków.

Wieczorne wiadomości zdawały się wskazywać, że atakujący nas nieprzyjaciel zatrzymał się na noc w Zagórzanach i Ostrowcach, umieszczając karabiny maszynowe i jaszczyki nieco w tyle, po drodze do Pacanowa. Wobec tego komendant nasz nakazał nocny atak świeżych sił, około 600 ludzi, które zostały przeprawione z prawego brzegu Wisły, by uderzyć na obozowisko rosyjskie, przy czym 1 oddział otrzymał rozkaz zejść tyły nieprzyjacielskie od strony Welnina.

W czarną noc, wśród siekącego deszczu i strasznego wichru hulającego nad wzbierającą Wisłą, sprawnie i cicho przeprawili się Strzelcy nasi koło Strójcowa i Pawłowa. Niestety meldunki okazały się fałszywymi, gdyż Moskale cofnęli się dalej na północ i nocowali w Solcu i za Solcem, tak że gdy nasi doszli do wskazanych punktów, spotkali tylko posterunki kozackie, które pierzchnęły. Zmęczone nieprzespaną nocą i nocnym marszem po błocie i wśród sloty oddziały nasze zatrzymały się na krótki odpoczynek i tylko patrole poszły za uciekającymi kozakami. O parę jednak kilometrów musiały się cofnąć, napotkawszy silniejszy oddział. Rozległy się gęste strzały karabinowe, a około 10.00 rano 20 [IX] zaczęły grać nieprzyjacielskie armaty.

Pozbawione artylerii oddziały nasze w Zagórzanach i Ostrowcu rozpoczęły powolny odwrót ku N[owemu] Korczynowi. Dzięki zręcznemu manewrowi komendanta batalionu Fleszara, który zrobił widoczne dla nieprzyjaciela poruszenie w kierunku południowym, prostopadle ku Wiśle, ogień armatni nie zaszkodził nam wcale, gdyż Rosjanie gwałtownie poczęli ostrzeliwać tę drogę, pozostawiając długo w spokoju istotny kierunek naszego odwrotu na N[owy] Korczyn, dokąd o godzinie 1.00 ściągnęły oddziały nasze, należące do nocnej wyprawy, a w ślad za nimi poczęła się zbliżać nawała nieprzyjacielska z działami i karabinami maszynowymi. Tym razem atak był prowadzony wyłącznie od strony Stopnicy, tak że oddziały nasze, ochraniające drogę na Busk, nie miały przed sobą sił wroga.

Bez poparcia artylerii niepodobieństwem było utrzymać się w N[owym] Korczynie, gdzie w ciasnych uliczkach miasteczka pociski nieprzyjacielskie mogłyby spowodować zbyt wielkie straty, to też komendant polecił pod wieczór opuścić N[owy] Korczyn. Część oddziału kazał przeprawić na prawą stronę Wisły koło wsi Borusowej, a innym zająć front na wzgórzach Winiary — Opatowiec. Dopiero przy naszym odwrocie zaczęły grać stojące

za Wisłą armaty austriackie, ściągając na siebie część nieprzyjacielskiego ognia. Odwrót odbył się w zupełnym porządku i spokoju, pomimo że podczas przejścia wąskiego mostu na Nidzie granaty pękały tuż obok, w wodzie. Od artylerii dnia tego strat nie mieliśmy żadnych. Nie doliczyliśmy się tylko 8 ludzi, którzy nazajutrz, dzięki życzliwej opiece miejscowej ludności, dotarli szczęśliwie do swoich oddziałów i, jak się okazało, spędzili noc w sąsiedztwie kozaków.

W tej bitwie mieliśmy do czynienia z 8 secinami kozaków piątej dywizji kawalerii i piętego pułku kozaków orenburskich, których popierały dwie baterie armat i 4 karabiny maszynowe. Tegoż dnia 1 pluton kawalerii naszej, wysłany na wywiady za Wiślicę w stronę Buska, skutkiem zdrady chłopą wpadł w zasadzkę i, otoczony przez trzy szwadrony jazdy, musiał przebijać się białą bronią, przy czym jeden z naszych dostał się do niewoli, a drugi, Stanisław Lorenc, położywszy trupem kilku Moskali, ostatnią kulą odebrał sobie życie. W tym czasie po drugiej stronie Nidy reszta szwadronu zwycięsko potykała się z rosyjską jazdą, odpierając ją w stronę lasu koło Chrobrza i zadając ciężkie straty. W rezultacie Rosjanie poszli w rozsypkę, straciwszy 10 zabitych i rannych oraz jednego wziętego do niewoli.

Dzień 21 i 22 minął względnie spokojnie, wśród drobnych utarczek wyrzuconego naprzód oddziału naszej kawalerii ze zbliżającą się z coraz większą natarczywością jazdą rosyjską oraz wymiany kilkunastu strzałów armatnich przez Wisłę pomiędzy artylerią austriacką i rosyjską. Front naszego oddziału, znajdującego się po lewej stronie Wisły, stał się tak nienormalnie długi, że – zwłaszcza wobec znużenia żołnierzy – zachodziła nieustanna obawa przerwania przez nieprzyjaciela tej wąskiej linii forpocztowej, w którą właściwie zmienił się cały oddział. Pomimo to komendant postanowił raz jeszcze odeprzeć nieprzyjaciela za pomocą nocnego natarcia. Jako punkt napadu wybrano Szczytniki, miejsce najsilniejszego posterunku kawalerii rosyjskiej na lewym brzegu Nidy. Atak, prowadzony pod dowództwem naczelnika jazdy naszej obywatela Beliny, powiódł się najzupełniej. Skradając się cicho, otulony mgłą i siatką mżącego deszczu, 23 [IX] o mętym świetle oddział piechoty naszej i spieszonych kawalerii wtargnął ze wszystkich stron do Szczytnik i wyciął niemal w pień cały oddział moskiewski. Z 50 kozaków i 4 dragonów 14 pułku zaledwie 8 zdołało się ocalić, uciekając oklep na koniach. Z naszej strony padł po bohaterskiej walce podoficer Janusz Bernatowicz, który jako prawy Polak przeszedł około Kielc z szeregów armii carskiej do wojska. Prócz niego mieliśmy 2 rannych.

Wobec szybko nadciągających z różnych stron przeważających sił nieprzyjacielskich nie byliśmy w stanie zabrać całej zdobyczy, zdołaliśmy pochwycić 2 konie, 8 siodeł,

kilkanaście karabinów, 3 jeńców z których dwaj byli ranni, jeden zdrow zupełnie (z piątego pułku kozaków i 14 pułku dragonów) oraz papiery zabitego oficera 5 pułku kozaków dońskich. Z wywiadów i z zeznań jeńców dowiedzieliśmy się o gromadzeniu się wielkich sił nieprzyjacielskich w Busku i o naprawie zepsutego przez nas mostu w Wiślicy.

Wobec wielkiego znużenia jazdy naszej, która przez kilka dni stawiała śmiało czoło przeważającym siłom, rozkazano jej cofnąć się do najmniej zagrożonego punktu — do dworu w Czarkowej, wslawionego pamiątkami kilkudniowego pobytu Kościuszki. Ale już około godziny drugiej po południu Rosjanie z dwóch stron, zza Nidy i od Wiślicy uderzyli całą siłą na nasze oddziały, będące i tego dnia, i poprzednich, i później jedynymi siłami, działającymi w Królestwie na lewym brzegu Wisły. Tym razem atak Rosjan, jakby przez zemstę za Szczytniki, był prowadzony ze wścieklą furją — armaty i karabiny maszynowe grzmiały przez kilka godzin bez przerwy. Najbardziej zagrożone zostały wojska nasze stojące we wsi Ksany i okolicy. Specjalnie 1 pluton ob. Młota, wysunięty w stronę Czarkowej, został osaczony przez nieprzyjaciela i w bohaterskiej obronie wytrwał, pomimo ogromnych strat, do wieczora, nie ustępując ani piędzi ziemi. Ostrzeliwany z flanku przez karabiny maszynowe, atakowany z frontu przez dwie seciny kozaków, którzy z dzikimi wrzaskami rzucali się naprzód, pluton ten celnym i szybkim ogniem przez dwie godziny odpierał atak, a wszyscy ranni do ostatka brali udział w boju.

Po nadejściu pomocy najbliższe trupy kozackie znaleziono w odległości 100 kroków. Wysłana pomoc posuwała się z wielką trudnością, gdyż artyleria zasypywała szrapnelami i granatami całą przestrzeń pomiędzy plutonem a ciągnącymi na odsiecz siłami. Jednocześnie inne siły nieprzyjacielskie z baterią armat próbowały ataku przez las w Chrustowicach na tyły całego naszego oddziału w Winiarach i Chwalibogowicach. Szczególnie ciężką była chwila, gdy spalone granatami Ksany musiały być opuszczone przez stojących tam strzelców, skutkiem czego całe lewe skrzydło zostało odsłonięte. Wówczas komendant postanowił rzucić resztę sił stojących jeszcze na prawym brzegu Wisły, ale szło to bardzo powoli. W krytycznej chwili oddziały nasze zaledwie podciągały ku przeprawie w Opatowcu, 6 godzin bowiem trwało zluzowanie ich przez wojska austriackie, mające zająć ich miejsce przy ochronie Wisły.

Położenie wydawało się prawie rozpaczliwe, tem bardziej że Wisła i Dunajec wzbierały z każdą sekundą i wreszcie rozlały się jakby w zatokę morską, wzburzoną szarpiącymi się wirami spienionej wody. Pierwsze przeprawione oddziały zostały pchnięte w stronę lasku chrustowickiego, lecz nieprzyjaciel już się cofał ku Wiślicy, a wkrótce zapadający

mrok, nadrzeczne mgły, a wreszcie noc ukryły słabe liczebnie i wyczerpane nasze siły od wzroku wroga i jego pocisków.

Wobec wyznaczenia na dzień następny, 24 IX, zaszczytnej roli awangardy, komendant nasz, pomimo znużenia ludzi i niesłychanie trudnych warunków przeprawy, zarządził w nocy przerzucenie wszystkich wojsk naszych na lewy brzeg Wisły i zajęcie odpowiednich pozycji. O trudnościach przeprawy można sądzić z tego, że przejazd na drugą stronę na zdefektowanych promach trwał 3 kwadranse, grożąc w każdej chwili, że prom zostanie porwany przez szalejący prąd w dół Wisły pod ogień posterunków nieprzyjacielskich.

O godzinie 1.00 w nocy ostatni nasi żołnierze znaleźli się na lewym brzegu Wisły, a w godzinę potem komendant został zwolniony z oczekujących go nazajutrz obowiązków, gdyż wobec powodzi zamierzone operacje zostały wstrzymane.

Wobec tego komendant, nie chcąc narażać zmęczonego i zupełnie izolowanego oddziału na prawdopodobną nową bitwę, o świcie ze wzburzoną Wisłą za plecami, zarządził przeprawę z powrotem. Przy pomocy saperów austriackich, którzy przybyli z pontonami, oddział nasz, zabierając wszystkie swe bagaże, zabitych i rannych, o godzinie 11.00 z rana znalazł się w Gręboszowie na dobrze zasłużonym spoczynku. W Gręboszowie pochowano z honorami poległych śmiercią waleczną towarzyszy.

Lista strat w ciągu tych kilku dni boju była następująca: Zabici: W dniu 19 [IX] pod N[owym] Korczynem: Piecieszynski, pseudonim Zbych, z Warszawy, szeregowiec; Edmund Lasarini de Colonna z Warszawy, podoficer; Henryk Wiszor z Przemyśla, szeregowiec.

W dniu 21 [IX] w Kobylnikach: Stanisław Lorenc, szeregowiec oddziału konnego z Krakowa.

W dniu 23 [IX] pod Szczytnikami i w innych bitwach: Janusz Bernatowicz z Królestwa, oficer jazdy; Tadeusz Grabiński z Królestwa, podoficer; Aleksander Sam z Królestwa, podoficer; Walenty Niemczyk z Komorowie, pow. Biała, podoficer; Marian Nowak z Jarosławia, podoficer; Adam Pawłowski i Jaskółkowski z powiatu Nowy Sącz, szeregowcy; Zenon Malinka z Podhajec, szeregowiec; Aleksander Kolusiak z Bochni, szeregowiec; Marian Hillebrand ze Stanisławowa, szeregowiec; Wincenty Kulpa, szeregowiec; Stanisław Rokosz z Krakowa, szeregowiec. — Zginął bez wieści Roman Milka, szeregowiec.

Ranni: 19 [IX] pod N[owym] Korczynem: Ferencowicz Władysław, Malinowski Jan, Trembiński Jan — wszyscy z Królestwa; Dreszer Gustaw, plutonowy oddziału konnego (bardzo lekko).

20 [IX] również pod N[owym] Korczynem: Dudziak Jan i Gut Marian, podoficerowie; Łódź, szeregowiec.

23 [IX] pod Czarkową; Filuk Wiktor z Kołomyi, Machowicki Ludwik z Bochni, Bojanowski Kazimierz z Tarnopola, Wirski Jan z Olkusza, Szczudło Józef z Tarnopola, Radek Mieczysław i Pająk Kazimierz z Królestwa.

Niewątpliwie żal nam serdeczny poległych dzielnych towarzyszy broni, bolą nas cierpienia rannych. Ale jeżeli spojrzymy na straty poniesione w kilkudniowym boju z przewagą liczebną wroga, zbrojnego w dodatku w baterie dział i mordercze karabiny maszynowe, z punktu wojkowego, to liczba 19 zabitych i 14 rannych jest zdumiewająco mała i stwierdza łacińskie przysłowie: *Audaces fortuna iuvat* — mężnym los sprzyja.

Gustaw Daniłowski





Edward Śmigły-Rydz, komendant I pulku



Sztab I pułku w trakcie przeprawy



W okopach



W okopach



I pułk sypie okopy



Obiad



Positek w I pułku

LASKI

Na ciężkie próby wystawiona była wojenna sprawność naszego oddziału w miesiącu październiku. Po tygodniu samodzielnych bojów korczyńskich, które wstępem były do drugiej wielkiej ofensywy na Królestwo, ruszyliśmy w związku z krakowskim korpusem (armii gen. Dankła) wzdłuż Wisły na wschód.

Jak najspieszniej, za wszelką cenę trzeba było słabe stosunkowo (parę pułków strzeleckich) siły nieprzyjaciela doprzeć za Sandomierz — w zakręt rzeki. „Zwycięstwo leżało w nogach” — mówiły rozkazy dzienne.

Piękne, słoneczne dni sierpnia minęły już dawno. Ciągłe deszcze zamieniły bezdroża południa Królestwa w beznadziejne trzęsawiska; szczególnie złe, ciężkie drogi były w Sandomierszczyźnie.

Ludzie chorowali, nie wytrzymując forsownych, nieraz 40 kilometrów przenoszących, marszów. Konie padały dziesiątkami; tabory grzęznąć po osie w gęstej, lepkiej masie błot sandomierskich, nie dochodziły prawie nigdy na termin, dowóz żywności był niemożliwy; okolica wyniszczona wojną wykarmić wielkich mas wojska nie mogła.

Nic dziwnego, że przy słabszym fizycznie materiale, przy nędznym wyekwipowaniu, braku kuchni polowych — tym silniej pochód odbijał się na naszym oddziale; topniał z dnia na dzień; dziesiątki maruderów i chorych zostawało w tyle.

Jednak szybki pochód naprzód, ślady klęski i panicznej nieraz ucieczki Moskali — podtrzymywały ducha. Budziły się znów nadzieje na jaśniejszą może przyszłość. Optymiści podnieśli głowy: coraz żywiej mówiło się o pochodzie ku Warszawie, o przyszłym, bliskim już może rozroście siły polskiej.

Mimo zmęczenia pochodem, niejeden z nas z mapą w ręku śledził gorączkowo dyspozycję na marsz następny. Przypuszczeniom, dyskusjom dokąd pójdziemy, nie było końca.

Zawracamy wreszcie spod Sandomierza ku północy. Cel zdaje się być bliski. Wielu wyobraźnia drogę mury, upragnioną sylwetkę Warszawy rysuje. Zamracza na chwilę pogodny ten nastrój detaszowanie kawalerii naszej (pod Beliną rotm.) i baonu II (pod Norwidem majorem) pod Warszawę. Nasuwało się przypuszczenie, że tylko ci mają być na tamtym froncie użyć.

Lecz nie, w parę dni i my podsuwamy się pod Radom. Zapal się z dnia na dzień zwiększa; naraz znów detaszowanie IV baonu (pod kpr. Wyrwą) — reszta zwrot na wschód. Jasnym się staje — całość rozbita — pozostali zajmą gdzieś dział w wielkim froncie zbliżającej się walki, może łamanie fortecy. Trzeba przerwać nie marzeń i z żołnierską zawziętością spojrzeć w rzeczywistość.

Idziemy ku Zwoleniowi. Grupa nasza, choć nieliczna, nie rozplywa się wśród ludzkich mas, które tu spotykamy.

Zawód szybko ukryty, przygnębienie przełamane. Humor na długo prysnąć nie może i znów, zda się bez troski, płynie po szeregach pieśń żołnierska.

Od Wisły spod Dębina coraz silniejszy pomruk dział. Niemcy łamią fortecę. Długie bez końca łańcuchy wozów z rannymi.

Czekamy na naszą kolej szturm. Śmierć niestraszna, dziwnie tylko myśleć, że jeden taki bliski może dzień i parę naszych batalioników — to ognisko wielkich marzeń, te ramy, co miały ująć w karby wojskowej organizacji budzący się do walki naród — zniszczają jakby bez celu.

Na tle tych ciemnych dni — jedna z miłszych chwil — nastrój chłopów w pewnej wsi pod Zwoleniem. Nie doszły tu jeszcze wieści — o „strzelcach krakowskich, co Kielce zdobyli”. A jednak patrzymy wzruszeni na głębokie rozrzewnienie, jakieś silne, serdeczne zajęcie się nami.

Wśród takiego nastroju nadchodził dzień pierwszej naszej wielkiej bitwy. Armia gen. Dankła w tym czasie ściągała ku północy, pod Zwoleń. Nasz korpus przysłał od Wisły południowe skrzydło wojsk niemieckich, szturmujących Dęblin.

Sytuacja ogólna nie pozwoliła na dokończenie tych szturmów. Cofnięto Niemców — za nimi nasz korpus odchodzi nieco na zachód ku Radomowi, po to jednak, by już następnego dnia wykonać niespodziewany ruch wsteczny i spotkać wychodzące z fortecy wojska rosyjskie.

Niby szpica ataku miał ruszyć naprzód nasz oddział.

Już podczas pozornego odwrotu dn. 21 X 1 kompania III baonu (dawna „kadrówka”) została w tyle dla przeprowadzenia wywiadu. Stwierdzono, że nieprzyjaciół posuwa się od Dębina dużymi siłami, postępując za cofającymi się wojskami niemieckimi.

Zadaniem oddziału naszego na 22 X było nocnym marszem przesunąć się kilka kilometrów z powrotem i, odrzucając czołowe oddziały rosyjskie, zająć korzystną dla nas pozycję i za wszelką cenę trzymając, przysłonić przemarsz ku niej niektórych części krakowskiego korpusu poprzez teren bagnisty i niebezpieczny.

Odpowiedzialne to zadanie spełniły przede wszystkim baony V. kpt. Karasiewicza i VI. kpt. Herwina, wyrzucając zza Suskiej Woli Moskali na linię Trupień, Kamyk. Przez kilka godzin, aż do podejścia większych sił, wytrzymujemy nacisk nieprzyjaciela. W ten sposób pierwsi rozpoczęliśmy jeden z większych bojów obecnej wojny.

Cienką i wydłużoną naszą linię wzmacniają całe bataliony. Przeciwnik tymczasem podciąga większe siły. Bój potężnieje z każdą chwilą. Przemawia wkrótce i artyleria. Posuwamy się rażno naprzód.

Dalszy nasz udział określony tym, że, po skoncentrowaniu się, zająć mamy część frontu między dwiema dywizjami korpusu N. N. [46] obr. kraj. i N. N. [5] piechoty. Nasza dywizja N. obr. krajowej postępuje szybko naprzód. Żeby nie zostać w tyle, wysyła Komendant to, co było pod ręką, bataliony, które dotąd stały w rezerwie. Tymczasem zbiorą się te, co o świcie bój rozpoczęły. Jest słoneczne południe jesienne; bój wre w lesie. Odgłosy walki powoli przesuwają się naprzód.

Pierwszy idzie w ogień III batalion, stara gwardia, dawne kadrowe kompanie pod majorem Śmigłym.

Komendant sam odprowadza. Wskazuje ręką kierunek na las. Odeszli. Po chwili zresztą posuwamy się w las ku linii ognia, na najbliższe strzały. Bój leśny z jego niespodziankami zmienił nieco nakreślony pierwotnie plan. Okazało się zbyt trudnym dalsze wprowadzanie naszych sił do ognia. Zostajemy w rezerwie w lesie. Dla bezpośredniej obserwacji boju podchodzi Komendant bliżej na skraj. Tysiąc kroków przed nami ciągnie się długa wieś Laski. W paru miejscach pożary. Poprzez dym — ciągle błyski pękających pocisków. Właśnie wyrzucono z całej wsi Moskali. Widać linię tuż za wsią — pod stodolami — najbliższe rezerwy, amunicja, ruch sanitariuszy. Artyleria pracuje bez przerwy — baterie nasze niedaleko na skraju lasu. Wkrótce też mamy sposobność ściągnąć na siebie pierwszy szrapnel w tej bitwie. Z gorączką śledzimy walkę. Przypomniały się długie godziny studiów wojennych, naszej pracy pokojowej, obudził się instynkt żołnierski, nasz zakonspirowany stary zawód. Wielki bój na jawie! Z jakimś zachwytem, żrenicą rozszerzoną, chciwie chwyta się każdy szczegół bitwy. Tymczasem szczęśliwie ci z III baonu już dziś okrywają się sławą. Wysłany wcześniej baon ten wyszedł na prawe skrzydło naszej

dywizji właśnie w chwili, gdy przeciwnik, korzystając z osłony lasu na wschód od wsi Anielin, wykonywał głęboki ruch oskrzydłający.

Prawe skrzydło frontu miało być przedłużone przez inną dywizję, która spóźniła się o parę godzin.

Zrozumiawszy grozę sytuacji major Śmigły, pomimo że ma przeważające siły przed sobą, osłaniając się też lasem, zwraca w zagrożony punkt swe kompanie.

Batalion nasz, z zasady mniej liczny od normalnych w armii, osłabiony pochodami, miał tu cały pułk przed sobą.

Pierwsza uderza w skrzydło wysuniętego ku nam baonu kompania por. Tessaro (Zosika). Po krótkim, gwałtownym, niespodziewanym dla przeciwnika ogniu, robi on to, co jedynie w tych warunkach leśnego boju dobre być mogło, rzuca się na bagnety. Zaskoczeni Moskale cofają się, wyrzekając się swego manewru. Całą siłą zwracają front na nas. Idzie w bój kompania następna por. Wieczorkiewicza (Scaewoli) dla przedłużenia frontu w prawo, wreszcie komp. por. Burhardta (Buckackiego) — ostatnie rezerwy.

Rosjanie angażują coraz większe siły. Cel został osiągnięty — manewr rosyjski na skrzydło dywizji obr. kr.[aj] niemal w chwili, gdy miał być do końca doprowadzony — sparaliżowany, lecz batalion wciągnięty w bój, znalazł się w ciężkich opalach. Ustąpić jednakże nie można.

Toteż, uparcie broniąc się w miejscu, parokrotnie idąc na bagnety, ze świetnym rezultatem, bo ogółem wzięto do [niewoli] 200 jeńców, wytrzymuje tu major Śmigły parę godzin do nadejścia spóźnionych większych sił, które go luzują. Krwawy leśny bój, gdzie parę godzin niemal ciągle pierś w pierś walczone — kosztował nas kilkudziesięciu rannych i zabitych. Tu w ataku na bagnety padł ciężko ranny por. Tessaro (Zosik), zabici ppor. Błażejewicz i Wolski. Straty nieprzyjaciela parokrotnie większe.

W następnym dniu koncentruje się oddział nasz we wsi Laski jako rezerwa dywizyjna. Wieś ostrzeliwana z nadzwyczajną precyzją. Deszcz żelaza. Atak od rana powoli posuwał się tuż za wsią. Wreszcie Moskale zajęli wygodną pozycję na wzgórzach. Wyczerpane półtoradniowym bez przerwy bojem, zasypywane na przestrzeni zupełnie odkrytej pociskami artylerii bardzo silnej na tym odcinku — pułki naszej dywizji przywarły do ziemi i koło południa atak stanął.

Zwrócono się do nas, wyczuliśmy pewne zakłopotanie, czy wojsko nieregularne przecieć, potrafi zdobyć zimną krew, czy wytrzyma to piekło ognia. Trzeba było, bez względu na straty, dopływem świeżych sił podnieść ducha w pierwszej linii i pociągnąć ją swoim

zapalem naprzód. Wybór Komendanta padł na batalion I dowodzony przez kap. Żymirskiego. Z wybitnym spokojem trwał on w silnym ogniu, którym przeciwnik, odgadując we wsi i po za nią ukryte rezerwy, od pół dnia nas zasypywał. Każdy ruch we wsi natychmiast przez Moskali zauważony i z podziwu godną celnością przez artylerię wtłaczany w ziemię.

Batalion I iść ma do ataku. Pluton za plutonem, za chatami, stodołami przemykać się ku wschodnim krańcom wsi poczyną. Komendant znów chłopców swoich w bój sam odprowadza. Już Moskale ruch spostrzegli. Nawałnica szrapneli. Nic to! Batalion jak lawina sunie nieubłagane. Za wsią pole czyste, wzgórza moskiewskie. U ostatniej chałupy Komendant stoi. Troska w oczach jakby myśl, czy nie załame się ten pęd nieugięty? A chłopcom, co i tu radziby śpiewać, jeno że zgrzyt i zawodzenie pocisków głuży wszystko, gdy podejda, twarze ścina na chwilę powaga, zawziętość. Komendantowi w oczy raz jeszcze każdy patrzy — zda się ślub tajemny, przyrzeczenie składa.

Gdzieś blisko pęka szrapnel, strugą żelazną sypie na nas. Jeden pocisk trafia w głowę Komendanta. Zachwiał się, lecz nic — kontuzja tylko.

Batalion spoza osłon rozwija się na pole — szybki, zwarty musi być ruch — nie można do szarej roli się przytulić — w bruzdę zaryć. Poszli chłopcy z brawurą. Ogień się wściekł, wszystko na nich żelazem sypie — artyleria, maszynowe karabiny — piechota. Linia za linią, plutonami całymi — długimi skokami — prą ku wzgórzom. Na chwilę do ziemi to tu, to tam przypadną i wciąż dalej, mimo strat. A gęsto chłopcy padają. Tu Żymirski 7 kulami zwalony, dalej — jego adiutant, Różycki podporucznik. Komendę bierze por. Grudziński — na chwilę tylko, już w piachu ranny leży — po nim por. Kuba-Bojarski, wąsik pogładziwszy, od swej kompanii na czoło batalionu się wysuwa.

Impetem swym porywają nasi cały pułk w linii leżący, w ziemię wtłoczony. Mijają go. Prą naprzód. Linia cała za nimi. Wzgórza w naszych rękach. Sąsiedni, z lewej, pułk porwał się jednocześnie. Moskale walki na białą broń nie przyjęli — pierzchli przed bagnetem. Zapada zmrok. Umacniamy się na pozycjach. Teraz już bez strat można linię zasilić. Suną V kpt. Karasiewicza i VI kpt. Herwina baony.

Mimo zmęczenia, kontuzji, idzie Komendant ku okopom. Obchodzi je, nakazuje zimną zachować krew, nie strzelać.

Przewidywał, że szarpnięte bojem nerwy w nocy grać poczną.

I słusznie, skoro zmrok zapadł, u sąsiadów to tu, to ówdzie strzał za strzałem. Wyrzuty z pozycji wróg przywarował niedaleko, z chwili na chwilę czekano odwetu kontrataku; każdy szelest, cień wiał grozą. Wyobraźnia pracuje, oczy szeregi, kolumny bagnetem

najeżone widzą — uszy sapanie biegnących do szturmu słyszą — ręce mimo woli karabin do strzału podnoszą. I często linia cała dała się porwać — grzmiała ogniem gwałtownym. U nas spokój. Z obu stron i u Moskali ogień trwał i trwał, w jednostajny, ciągly gwałt przechodząc, nasz dział okopów pograżony w milczeniu głuchym. Rzecz nie do wiary — dzieci niemal, a stare wiarusy o nerwach z żelaza.

Wysuwano macki-patrole daleko ku okopom moskiewskim. Ufano ich czujności. Oficerowie, nakazu pomni, dławili swoje i żołnierzy zdenerwowanie.

Ze wsi obiad spóźniony, amunicję dowożą — Po polu rannych zbierają. Noc przechodzi bezsenna, wyczerpująca.

W trzecim dniu walki wysłany zostaje dla wzmocnienia linii III baon. Tu chodzi o przesunięcie z rezerwy przy możliwie małych stratach. Pod osobistym komendanta mjr. Śmigłego kierunkiem sążono z Lasków ku okopom małymi grupkami żołnierzy. Cały batalion przeszedł do linii ognia i tylko paru lekko rannych.

Wczorajszy brawurowy atak I baonu, żelazny spokój w nocy — dzisiejszy umiętny, a troskliwy manewr III baonu — zachwyty, podziw, powinszowania ze strony obserwujących to oficerów austriackich wywołują. Jeden z dowodzących generałów, świadek tych czynów, wyraża w Najwyższym imieniu podziękowania za nie. Pytania o naszych oficerów, o szkoły czy akademie, które najwidoczniej musieli kończyć.

Pozycji naszej, wysuniętej obecnie nieco przed front, dalej posunąć nie można — atak na całej linii stanął wobec ciągłego dopływu świeżych pułków rosyjskich. Trzeba trzymać, mimo straszliwego ognia artylerii.

W okopach chłopcy urządzają się jak najwygodniej. Poglębianie, przyodziewanie osypujących się ścian, zakładanie osłon itd.

Moskale gwałtownym ogniem artylerii przygotowują najwidoczniej atak piechoty. Głęboko trzeba było weźreć się w ziemię. Nasza kompania saperska z całą energią w pracy tej pomaga, skoro tylko zmrok zapadnie.

Noce schodzą bezsennie na wyczerpującej pracy, w dzień odsypia się. Obserwatorzy tylko wyznaczeni czuwają i dość liczne, co prawda grupy amatorów, zagorzałych sportowców karabinu, polują na ukazujące się czasem cele. Reszta głowę zakrywszy czym kto może przed nieznośnie przenikającym wszędzie piaskiem, który sypią w przedpiersie okopu granaty — śpi, nie słysząc zgiełku dokoła.

Nieco w tyle, we wsi Laski pracuje komenda i różne urządzenia. Tu ukryte rezerwy. Silniej niż okopy ostrzeliwują Moskale tę jedyną osłonę w okolicy. Tu, ówdzie zapali

się chałupa, leci w drzazgi stodoła. Nic to — zmienia się miejsce i pracuje lub czeka dalej.

Rezerwy zakopują się w ziemię. Stoi tu też batalion uzupełniający, który dopiero w Laskach nas dogania. Nie mógł być wcielony, został jako całość. Pierwszy to chrzest ogniowy. Trzymają [się] chłopcy znakomicie, kopią swoje skrytki — oficerowie urządzają im wykład z fortyfikacji polowej przy tej sposobności. Tu ranny komendant tego batalionu por. Bobrowski — zastępuje go por. Milko (zginął pod Marcinkowicami).

Chałupka sztabu — wysunięta nieco przed linię wsi, ostrzeliwana gwałtownie. Czekamy — w komplecie — w pewnym skupieniu, obserwując przez okno wybuchy granatów z ciężkich dział. „Kufarki” (granaty) pękają o kilkanaście, kilkadziesiąt kroków w bok lub za daleko. Wtem jakiś inny gwizd, trzask, huk, drzazgi lecą, zakotłowało się w izbie; jeden już leży na ziemi, drugimi chlusnęło o ściany, sam Komendant z impetem z podstawy przy oknie odrzucony na środek izby. Granat szczęśliwie tylko pod węgiel chaty uderzył.

Bo też szczęście ma nasz Komendant. Następnego dnia, gdy szedł przez wieś — dwa „kufarki” o kilkanaście zaledwie kroków wybuchają z obu stron. Ledwie zdążył się do ziemi przytulić. Powoli legenda rośnie, gdy przyszłość znów wiązkę takich faktów dorzuci.

Zmieniamy zrujnowaną chałupę. Ta sama zabawa i dni następnych. Praca jednak wre — przeprowadza się telefony, urządza połączenia, paraliżuje różne próby Moskali flankowania naszych okopów. Ustalając znakomite współdziałanie naszych baterii z sytuacją w okopach, normuje się gospodarcze sprawy — nawet uprzyjemnia, o ile możliwości, życie w okopach (korespondencja, gazety).

Wśród tej pracy czekamy, czy nie postąpią naprzód w sąsiednich działach. Rzuciliby się chłopcy znów do ataku z pieśnią, dowcipem na ustach. Trzymać trzeba było ten pęd na uwięzi. Energia jednak, choć w drobniejszych przedsięwzięciach, przed frontem upust znaleźć musiała. Często oficerowie biorą w nich udział. W jednym z takich działań zostaje ranny kpt. Karasiewicz, komendant V baonu wraz z oficerem swego baonu.

Po 5 dniach walki na pozycjach, mimo że na najbliższym froncie widoczne zwycięstwo — trzeba było rozpocząć odwrót. Całość sytuacji tego wymagała. Moskale potrafili ściągnąć siły tak wielkie, że osiągnęli trzykrotną przewagę liczebną.

Z żalem schodziliśmy z pozycji — rozkaz o odwrócie przytłoczył chłopców. Ociągali się. Ostatnie plutony, co kryły, rozpoczęły o zmroku ruch — zostały w okopach długo, ożywioną akcją wykonując. Może choć patrol jakiś moskiewski uda się uszczknąć.

Ostatni zeszliśmy z pozycji. Zapalone w paru miejscach w ostatnim dniu Laski dogorywały. Łuny sąsiedniej wsi — jakimś dziwnym blaskiem w gęstej jesiennej mgle się rozpraszały. Dziwna cisza razila uszy, przyzwyczajone do ciągłego huku walki.

W duszy jakaś дума — pierwszy wielki bój — i żal — pierwsza hojna ofiara krwi — i pewność silna, że stało się coś, co nas w żelazną całość spoilo.





Leon Berbecki, komendant II pułku



Z pomocą ludności



Gra w piłkę nożną



Wypoczynek pod Bogorią



Wypoczynek po marszu



Na postojni



Pogrzeb legionisty

SPÓD WARSZAWY

Na Warszawę szliśmy forsownymi marszami. Było to w październiku. Błoto na bezdrożach radomskiej ziemi i niedostatek z powodu trudności dostaw, mimo dobrego zaopatrzenia prowiantowych taborów, dawały się silnie we znaki. Ale przeciwważył je zapal. Bo dla żołnierza najlepszym wzmocnieniem jest jeno rozkaz: „naprzód”. Był to bowiem marsz upragniony. Nie znaczy to, aby Warszawa była nam celem. Ona była nam środkiem. Pragnieniem naszym było wziąć Warszawę, aby wzięcie Warszawy było narodzi się rozkazem do czynu. Byliśmy bowiem tym tysiącem, który wierzył w naród wbrew jemu samemu; widzieliśmy go czynnym już wtedy, gdy leżał w upokarzającym niewolnictwie oczekiwania i wtłaczaliśmy w niego naszą czynną wolę. Bo szliśmy przez kraj, przerażony gospodarką wszystkich zarówno systemów; drogami, przez które co dnia przewalały się cudze wole, zabijające w narodzie własną wolę obywatelską, aby poderwać mu spod nóg podstawę czynną i jego męską myśl przerobić w bierność; szliśmy przez kraj naprawdę rozebranego narodu. Ale ci chłopcy wiejscy, którzy wstępowali w nasze szeregi i te kobiety, które od pól ziemniaczanych błogosławiły nas „Częstochowską”, kazali nam wierzyć głęboko, że żyje w narodzie prawość, która krwią zapieczętuje prawa tej ziemi.

Uposobienie w naszych szeregach było dobre. Niosły nas głowy rozpalone marzeniami. Dzień za dniem sływał w jednostajnym marszu. Ramiona, znużone dźwiganiem bagażu i gorączka wyczerpania, wyryta na twarzach, podnosiły jeno pragnienie, aby nareszcie przyszło do bitwy w miejsce monotonności pochodu.

Każdy nowy wiorstowy słup lub nasze polskie sosnowe zagaje na piaszczystej wydmie wyrwały z szeregów radosną piosnkę żołnierską. I tak było trzy tygodnie. I byłoby tanim oszukaństwem przeczyć, że głęboki smutek przeszedł przez nasze szeregi, kiedy zamiast udziału w ataku na Warszawę, przypadło nam stanąć jako straż u mostu łowickiego w chwili odwrotu z pod stolicy. Wiedzieliśmy dobrze, że odwrót nawet chwilowy, strate-

gicznie nawet najkorzystniejszy (jakim się ten właśnie istotnie okazał już w najbliższych tygodniach), złym dniem będzie dla naszej sprawy: dla wyrwania narodu z bierności. Dla nas zaś były to tygodnie przeprowadzenia nowych doświadczeń przez najgłębsze instynkty życiowe. Wykuwało się w nas w dalszym ciągu pokolenie, które potrafi ze zogniskowaną świadomością spoglądać oko w oko rzeczywistości, jakąkolwiek by ona była i nie zatracić mocy czynu. Wola walki w nas nie zagasła. I serca tych młodych chłopców nie poddały się wpływowi dokonanych już faktów, a poszły za czynną wiarą w przyszłość. I żadnymi rozmyślaniami czy budowaniem zwątpiałych uogólnień nie wydaliśmy marnego świadectwa naszej żywotności. Dano dowód, że jesteśmy żołnierzami. I sześć dni marszu a jedenaście dni walki w tym odwrócie i pokarm z pastewnych buraków nie ugięły siły oporu.

Trudno dziś określić, czy branie Warszawy było w planie, tak drobne stosunkowo siły poszły w tym kierunku. Cokolwiek bądź stwierdzić trzeba niezwyklej decyzję strategicznych ruchów wówczas na ziemiach Królestwa. Gwałtowny atak trzech saskich korpusów był tak niespodziany i tak wymykający się z pod wszelkich formułek i szablonów, i niósł z sobą tyle brawury w inwencji i stanowczości, że łatwo mógł się zakończyć zajęciem stolicy. Dla obrony Warszawy natychmiast cofnięto wojska, które od północy zaczęły oskrzydlać teren Królestwa. Lecz walka się przedłużała. I mimo dobrego przebiegu, z powodu ponownego oskrzydlenia i liczebnej przewagi, na całym froncie odwrót nastąpić musiał.

Zaszczytne wojskowo zadanie osłony odwrotu armii z pod Dębina i Warszawy przypadło Legionowi Piłsudskiego. Jeden pułk wraz z Komendantem poszedł na wschód, dwa zaś bataliony z kawalerią, prowadzone przez Norwida i Wyrwę, poszły na północ pod Warszawę. Batalion drugi przez Mszczonów zdążył jeszcze dotrzeć do Łowicza, gdy batalion czwarty z Wyrwą już z Grójca, niestety, zagarnął odwrót z powrotem nad Pilicę, gdzie przypadło mu zadanie stanowić ochronę lewego skrzydła armii osłaniającej odwrót z pod Dębina. Po dwudniowej walce nad Pilicą z powodu oskrzydlenia kompanie nasze przesunęły pozycje spod Bud Michałowskich na Niedabył, a po walce w Ignacówce okopano się pod Starowiejskim lasem, gdzie wytrwano aż do nadejścia znaczniejszych sił. Stąd, osłaniając lewe skrzydło całego korpusu, doparto z powrotem nad rzekę. Tu znowu pod Budami Michałowskimi, zostawiwszy jedną kompanię celem strzeżenia boku, stanął batalion pod Białogórą, jako część frontu bitwy pod Grabowem. Grabowska walka pomyślny miała wynik. Zapewniono w ten sposób spokojny odwrót całego korpusu. Tymczasem nad rzeką krwawo musiano walczyć celem obrony przeprawy. Kawalerię rosyjską szczęśliwie odrzucono, przeprawę utrzymano i, dopiero gdy wynik bitwy pod Gra-

bowem był już zapewniony, ustąpiono spod silnego ognia artyleryjskiego i w najcięższych warunkach wycofano plutony przez pustą równinę nadrzeczną. Była to dla nas jedna z najcięższych prób ogniowych, dzień nawiązania w sercach żołnierskich najgłębszej miłości dla Jarnuszkiewicza, kierownika kompanii. Gdy się już wszyscy wycofali, z jednym plutonem pozostał on na pozycji przez długie godziny aż do późnego wieczora, zimną krwią utrzymując w spokoju żołnierza. By nie psuć swobodnej myśli, jedni drugim nie podawali wieści o stratach wśród najbliższych towarzyszy; nie dzielono się ani złą wieścią, ani złą myślą, a gdy noc przyszła, złożono na karabinach tych, którzy już sami iść nie mogli i kolejno wycofano się w las.

Tymczasem batalion drugi zdążył do Łowicza właśnie dnia tego, kiedy kawaleria nieprzyjacielska zdołała na tej linii front przelamać. Wojska niemieckie cofnęły się na Łódź. Drobne jeno siły saskie z dywizją krakowskiego korpusu, odcięte na północ od Łowicza, musiały się przemknąć wzdłuż bagien Bzury i frontu rosyjskiego przeforsowanej już Wisły między Modlinem a Włocławkiem. Oslona odwrotu tych sił właśnie przypadła naszemu batalionowi. Odwrót na Łęczycę zabezpieczała od wschodu nasza kawaleria, prowadzona przez Belinę i Orlicza która idąc od Skierniewic, po walce pod Jamną stawiała skuteczny opór w okolicach Ozorkowa pod Modlną i Sokolnikami. Batalion nasz bowiem musiał się zatrzymać pod Łowiczem, zanim mógł odpłynąć w kierunku zachodnim. Zadaniem jego była tu ochrona przeprawy przez rzekę. Część więc broniła samego mostu, część zaś zastaw na rzece, które miały spowodować wylew i tak już obfitej wody i zabezpieczyć jeszcze bardziej teren środkowego Królestwa od strony północy. Bednary i Belchów, Łowicz, Maurzyce i Zduny były świadkami trzydniowych walk. Kiedy zaś cel walk pod Łowiczem był już osiągnięty i cała armia spokojnie już odpłynęła, nocnym marszem, polnymi drogami przemknęliśmy się pod Kutno. Stąd, zmusiwszy wraz z krakowskimi ułanami nieprzyjaciela do rozwinięcia linii bojowej, szybkim marszem cofnęliśmy się na Łęczycę. Krok w krok za nami postępował kawaleryjski korpus generała Nowikowa.

Po krótkim odpoczynku część batalionu stanęła na wschód od miasta, u wylotu Tumu, gdzie przez dwa dni skutecznie odpierano patrole rosyjskie, zuchwale podchodzące tuż pod samo miasto, reszta zaś wróciła na północ, gdzie w Topoli krzyżują się drogi. Okopano pozycje. Patrolami objęto odcinek po Prądzewo. Ale już wieczorem, kiedy pod osłoną armat doprowadzono znaczniejsze już siły, pod grozą odcięcia od miasta trzeba było przesunąć pozycję; obryzgani torfem, szarpanym granatami, ustąpili nasi z okopów. Komendant Norwid ustąpił ostatni.

Dziwnie smutna była Łęczycza. Szare mury, pustka jakby wymarłego miasta, przerażenie patrzące z każdego domu i ukradkiem przemykające się tu i ówdzie do okna postacie i deszcz, nieznośny deszcz, szklący [się] na wielkich łbach miejskiego bruku, po którym dudniły fury, odwożące resztki wojsk niemieckich. O karabiny oparci wypoczywali nasi. Lecz nie minęła godzina, kiedy na ochotnika, po siedmiu, kilkoma grupami poszło się odzyskiwać straconą Topolę. Trochę tu było ognia, wiele męczącej czujności i niespodzianym nocnym powrotem wzięto pozycję. A potem znowu cały dzień oporu pod ogniem armatnim lub w walce z czerkiesami, usiłującymi odciąć naszą grupę. Wieczorem zaś przyszedł rozkaz opróżnienia miasta. Gdy noc zapadła, poprzez przejścia zawczasu wyrąbane w cmentarnych murach i ogród folwarczny, cicho wysunięto się poza zachodnią krawędź miasta. Okazało się, że miasto już było osaczone również od południa. Bez strat wykonano jednak marsz do Chodowa. Noc była spokojna, choć nie w najlepszym położeniu. Ze świtem przed wsią rzucono okop. I znowu przyszedł rozkaz do odwrotu. Lecz odbyło jeno trzy wiorsty.

Równolegle z nami po obu stronach szła nieprzyjacielska kawaleria. Za nami nie było lepiej. Na kilka minut drogi przed nami w Gostkowie, w oczach naszych wysadzono nam most na rzece. Byliśmy ze wszystkich stron osaczeni. Położenie było naglące. Rozwinęliśmy straż tylną i w *carré* tyralierskim rzuciliśmy się ku piaszczystej drodze na Poddebicę. Ostro nieprzyjacielskie karabiny maszynowe trajkotały; z trzech stron świstały kule — wreszcie i z czwartej zagrały armaty. Położenie było niemile. Niewiele się jednak stało, trochę jeno krwi się lalo. Na przestrzeni pięciu wiorst przebiliśmy się w godzin cztery, wyzyskując skrupulatnie każdą zaslonę naturalną terenu. Tak dobrnęliśmy do Tura. Tu obcy las przyjął już wszystkie pociski i ruchy nasze dobrze osłonił.

Forsownym marszem przybyliśmy do Warty. Sześć razy przechodziliśmy rzekę, pełniąc w Glinnie służbę ochrony przeprawy.

I znowu było tu trochę ognia armatniego.

Wreszcie mosty poszły w powietrze, a myśmy stanęli z całym korpusem na wzgórzach Nakwasina pod rozkazami feldmarszałka Kordy.

W marszu bojowym przyszliśmy do Mroczków Wielkich. Wspaniałymi półkręgami w kilkunastu tyralierskich liniach, sekcjami rozwinęli się strzelcy, zalewając sobą głęboką równinę; nam przypadło lewe skrzydło. Wskazane wzgórze pod Nacesławicami sforsowaliśmy niezwłocznie; tak nagle znaleźliśmy się już poza linią nieprzyjacielskiej artylerii. Powstrzymani, przez dwie godziny przeleżeliśmy na odkrytym polu, zanim przyszedł

rozkaz ataku na Chlewo. Bagnistą rzekę przechodzimy w bród i samą szybkością ataku bierzemy pozycje. Z nami idą strzelcy austriaccy. Trochę tu jeno ognia było i wziętych żywcem kozaków. Tak atak korpusu, skierowany ku południowemu wschodowi, na całej linii pomyślnie zamknięto. Na drugi dzień, z brzaskiem nowy atak rzucony w kierunku północno-wschodnim.

Dwa wzgórza minęliśmy bez oporu. Poprężniki bagnetami bierze Rogoziński. I znowu przeszły długie godziny trwania pod ogniem. Trzeciego dnia przyparto wojska nieprzyjacielskie do rzeki.

Obrona była zawzięta.

Wielogodzinny łomot karabinowego ognia znieczulał uszy, a granaty i szrapnele gęsto, jak nigdy dotąd, pokrywały ogniem dominujące pozycje. Słoma ze stogów, rozbitych w strzępy, odbywała dziwnie nerwowe tańce w powietrzu, wstrząsane coraz to liczniejszymi wybuchami. Kwas gazów, czad zionący ze zgliszczy zabudowań, łomot armatni zdwabiany odbiciem w dolinie rzeki, ryk granatów i gejzery wyrzucanej ziemi, deszcz szrapnelowego żelastwa, oczy i usta piachem zasypane, szły z nami krok w krok. Ze wsi dochodził skłębiony płacz przerażonego ludu. W zaduchu i dymie wchodzimy w las. Ryk armat odgłosami wzbogacony i trzask rozrywanych drzew urozmaicają piekielną orkiestrę. I wśród tego wszystkiego spokojna, przywykła do ognia obojętność starego już żołnierza. Chłopcy nasi, prowadzeni spokojną a stanowczą ręką Olszyny-Wilczyńskiego, szli w ogniu w szyku niezachwianym. Jak żelazem złączona, posuwała się linia w skokach równych, stanowczych i planowych. Tak linia Maszowa została wzięta. Korpus Nowikowa odrzucony za rzekę. Bitwa skończona.

Jeden jeszcze uciążliwy marsz — następnie wszyscy przerodzili się w kucharzy. Straszliwe zmęczenie i późną noc przemógł widok worków z mąką: pomyslowość wysilała się na coraz to inaczej przyrządzane podplomyki. Bo to był dzień odżywiania się za cały tydzień.

Rozkazem odwołani wraz z całą dywizją przez Kalisz i Ostrów wróciliśmy do Krakowa. Tu zdążyliśmy prawie równocześnie z naszym Komendantem, aby razem ruszyć do Zawoi.

W Piotrkowie, 3 czerwca 1915.

Adam Dobrodziński



Władysław Belina-Prażmowski, komendant kawalerii



Oficerowie kawalerii



Beliniacy



Patrol konny



Szwadron Beliny

BITWA POD KRZYWOPŁOTAMI

Po kilkudniowych wyczerpujących walkach pod Laskami i Anielinem, w których po raz pierwszy otrzymaliśmy ogniowy chrzest artyleryjski w stopniu tak silnym, rozpoczął się odwrót I Armii, do której podówczas należał i nasz pułk (I) wskutek przeforsowania linii Wisły przez Moskali. Nasze prawe skrzydło zostało zagrożone. Należało szybko się cofać, aby nie dać się wyprzedzić Moskalom, którzy drogą równoległą do naszej, wzdłuż lewego brzegu Wisły podążali, chcąc nam odciąć połączenie z Krakowem. W ciągu tych kilkunastu dni odwrotu — od 26 października do 9 listopada — naszemu pułkowi przypadła w udziale służba w straży tylnej. Mielśmy być osłoną dla cofającej się grupy wojsk wraz z całym skomplikowanym aparatem trenów, szpitali, maruderów, chorych i rannych.

Zepsucie wozu, zasłabnięcie konia, nieuwaga woźnicy lub inna drobnostka, tutaj w warunkach odwrotu stawały się przyczyną opóźnienia, powodowały stłoczenie ludzi i wozów, psuły nakazany porządek cofania się, wreszcie tamowały swobodny ruch na drogach. I trzeba było całego zasobu energii ze strony władz wojskowych, aby cały ten materiał ludzki i koński rozhukany utrzymać w karbach organizacji i porządku, gdyż inaczej przy depresji moralnej, jaka podczas odwrotu niezawodnie owłada każdym, szybkie cofanie się łatwo przemienić się mogło w bezładną, masową ucieczkę. Tym odpowiedzialniejsze było nasze zadanie: zapewnić bezpieczeństwo cofającym się oddziałom i natchnąć je przekonaniem, iż w tyle poza nimi są jeszcze wojska, które czuwają i które nie pozwolą następującemu na pięty nieprzyjacielowi wdrzeć się do środka. Ta odpowiedzialność napawała nas dumą, dając jednocześnie pewną samodzielność, znaczną swobodę postępowania w nakreślonych granicach.

Niepojętą moc i wytrwałość wykazali nasi żołnierze, młodzi i nieprzywykli w przeważnej ilości do ponoszenia trudów fizycznych. Pomimo kilkudniowej męczącej bitwy — musieliśmy wykazać naszą sprawność marszową i bojową. Ciągły kontakt z nieprzyjacielem,

służba ubezpieczająca dniem i nocą, marsze od świtu do późna w noc, alarmy, a do tego dodać trzeba najfatalniejsze warunki odżywiania, gdyż kraj był wyczerpany, a żadnego dowozu nie było — wszystko to utrudzało młodego żołnierza. Pojawiać się poczęły choroby. Toteż, gdy dawano kilka godzin spoczynku, rzucano się gdziekolwiek bądź na ziemię, byle pokrzepić się snem twardym, żołnierskim. Nigdzie ani znaku dawnej wesołości. Śpiewy i docinki znikły z szeregów. Zmęczenie i odwrót nie pozostały bez wpływu.

By dać czas trenom na zwiększenie odległości od nieprzyjaciela, zajmowaliśmy jednolite pozycje w Brzechowie, pod Rembowem i Górą, wkopując się wszędzie w ziemię dla zwiększenia odporności. Wreszcie pod Wolbromiem zostaliśmy złuzowani przez inny pułk. Wtedy — już jako przeciwieństwo stanu napięcia nerwowego, które występuje łącznie z poczuciem odpowiedzialności i chęcią spełnienia obowiązku i jako rezultat nadużywania tego stanu napięcia — nastąpiło obezwładnienie ogólne. Nerwy odmówiły posłuszeństwa, sen kleił powieki, karabin i plecak ciążyły niemiłosiernie, schylały ku ziemi, układały do snu. Organizm domagał się swych praw. Pod wieczór nadciągnęliśmy gnuśnym marszem do Lgoty Wolbromskiej, o kilka zaledwie kilometrów odległej od Wolbromia, by w niej przenocować. Jednak nie sądzone nam to było. Ledwie zasnęliśmy — po raz pierwszy od Lasek bez patroli, placówek i wedet — snem zasłużonym, gdy przyszedł rozkaz natychmiastowego odmarszu dalej, na zachód. Trzeba było tarmosić, stawiać na nogi, grozić karami, nim wreszcie oddział gotów był do dalszego marszu.

Wolno, bardzo wolno, ociężale, po piaszczystym bezdrożu wśród nocy ciemnej i ponurej posuwała się kolumna, roniąc maruderów, pierwszych maruderów od początku odwrotu. Wreszcie o 2.00 w nocy zatrzymaliśmy się biwakiem w rzadkim lasu sosnowym. Zgorączkowani i wyczerpani ludzie jak kłody legli do snu, nie przeczuwając wcale, iż za kilka zaledwie dni wrzeć tu będzie bój, że ziemia ta zroszona zostanie krwią wielu z nich obficie, że miejsce to zapisze się najkrwawszymi zgłoskami w historii pułku naszego: biwakowaliśmy w lasu pod Krzywopłotami. Zmęczenie musiało być znaczne, skoro nikt nie szukał chałup, nikt nie „podróżował” i nikt nie węszył za jadłem, jednym słowem wyzbyto się swej nieodłącznej natury, natury „żołnierza-dłubinoska”. Nieotaczane pieczołowitym staraniem żołnierzy, lubiących gotować lub piec ziemniaki, ogniska — wygasły, żarząc się tylko gdzieniegdzie i dymiąc na chłodnym wietrze. Rozlegało się wśród nocnej ciszy nierówne chrapanie, wpadały w ucho pojedyncze słowa wymawiane przez sen bez związku, niezrozumiałe, głupie w swej treści — oznaki stanu gorączkowego. Nawet złośliwie zimny poranek listopadowy nie zbudził nas ze snu. Poprzez szronem pokryte gałęzie niskich,

koślawych, niewyrosłych na piaszczystej glebie sosen, pod przykryciem mgły, przejmującej do szpiku kości chłodem, tulily się do siebie ciała śpiących. Zdawało się, że w ciągu tej jednej nocy listopadowej chciano odespać całe swe zmęczenie, wszystkie niedospane noce, że chciano w kamiennym śnie znaleźć ukojenie dla nerwów, że wreszcie chciano okłamać głód — towarzysza nieodłącznego ostatnich dni odwrotu.

Dopiero — już dawno dzień był — krzyk: „kuchnie nadjechały” przypomniał żołdaków o jego słusznych prawach. Rażno z naczyniami ruszyliśmy do kuchen, by ciepłą strawą ogrzać się i pokrzepić. Było to ostatnie śniadanie wspólnie w pułku spożyte. O nieprzyjacielu nie mieliśmy określonych wiadomości. Dlatego też bataliony I, III i V z kawalerią udały się pod dowództwem komendantów na wywiad¹ dwa inne (VI i IV) oraz artyleria pod komendą majora Trojanowskiego — pozostały dla zajęcia pozycji obronnych pod Krzywopłotami. Do tych batalionów zostali włączeni nowi rekruci, zwербowani w Częstochowie, Dąbrowie, Piotrkowie i Łodzi — około 600 ludzi.

Tego samego dnia (10 XI) otrzymaliśmy uzupełnienia, tak że oba bataliony (IV pod Wyrwą i VI pod Satyrem) liczyły ponad 1000 ludzi. Artyleria (8 armatek muzealnego pochodzenia) była pod rozkazami kapitana Brzozy. Nad całością objął komendę — jak zaznaczyłem — major Trojanowski.

Pozycja przeznaczona przebiegała wzdłuż wzgórza Święty Krzyż (z ruinami), aż do lasu, w którym nocowaliśmy. Ze Świętego Krzyża, który dominował, mieliśmy doskonały przegląd okolicy. Przed nami rozciągała się duża błotnista kotlina, przetrzynięta Przemszą. Pośrodku niej stał młyn. Bliżej pozycji cmentarz z kaplicą. Szerokość kotliny wynosiła około 125 km. Po bokach wznosiły się wzgórza; — na prawo leżała wieś Bydlin, na lewo ciągnęło się na wchód Zależę, przytykając do lasu Domaniewickiego, odległego w linii prostej od Świętego Krzyża o 2000^x — 2500^{x2}, — IV batalion pozostawiono w rezerwie w Krzywopłotach (o dwa kilometry na zachód), VI miał obsadzić pozycję i zająć się doprowadzeniem jej do stanu, nadającego się do obrony; artyleria przygotowywała sobie pozycję na Świętym Krzyżu i poza nim. Na lewo od nas zajmował pozycję jakiś czeski pułk, na prawo 92 brygada. Na tej linii rozkazano dać odpór Moskalom. Należało więc dobrze wybudować okopy. W pracy nad pogłębianiem rowów strzeleckich, nad maskowaniem przedsięwzięcia okopów, nad patrołowaniem okolicy — pędziliśmy dni. O nieprzyjacielu

¹ (...) z którego wskutek odcięcia powrócić nie mogły do Krzywopłotów, lecz torując sobie drogę bagnetem, poszły na Kraków.

² Autor najprawdopodobniej znakiem „x” oznacza metry (przyp. red.).

żadnych konkretnych wiadomości nie było. Zjawiały się, a i to daleko, patrole konne. Aby utrudnić nieprzyjacielowi skryte podejście, wyrównaliśmy przy pomocy saperów austriackich teren przed naszymi pozycjami leżący oraz pościnaliśmy drzewa. I gdyby nie deszcz jesienny, to czas spędzony na pozycjach, w porównaniu z trudami przebytymi podczas odwrotu spod Dębłina, można by było nazwać odpoczynkiem.

15 listopada rano poszliśmy do rezerwy (do Krzywopłotów), zluzowani przez IV batalion. Tegoż dnia nieprzyjaciel nadciągnął; patrole jego ukazały się na skraju lasu Domaniewickiego. Na lewym skrzydle naszego korpusu (I 1. Armii) słychać już było strzelanie armatnią.

16 wskutek ognia granatów i szrapneli, którymi Moskale poczęli zasypywać wieś Krzywopłoty, cofnęliśmy się na zachód o 2 km do lasów pod Kwaśniowem. Przystąpiliśmy tam do budowy olbrzymich baraków ziemnych, mieszczących po 60—100 ludzi. Jednak nie nadążyliśmy do wieczora i, pomimo bardzo zimnej nocy (-1°C), wypadło nam nocować po żołniersku — pod gołym niebem.

W ten sam sposób spędziliśmy dzień 17 listopada. Dopiero nad wieczorem zostaliśmy zaalarmowani. Przymaszerowaliśmy o 6.00 wieczorem do Krzywopłotów, gdzie oficerom dano rozkazy do nocnego ataku. Cicho, rozwinięte w tyralierkę, kryte w ciemnościach, posuwały się kompanie IV batalionu na punkt zborny — do znanego lasku u stóp Świętego Krzyża.

Na kilka minut przed ósmą nawiązaliśmy kontakt z dwiema kompaniami IV batalionu (Słomki i Styka), które miały razem z nami wziąć udział w ataku. Zadanie nasze polegało na zajęciu wsi Zależa, na której wschodnim krańcu usadowili się Moskale. Krótkie rozkazy wydano przyciszonym głosem, jakby w celu nienaruszania ciszy i powagi nocy. Wreszcie rozkaz „bagnet na broń” elektryzuje szeregi. Ruszamy długą, gęstą linią tyralierską czterema kompaniami (Kordiana i Ludwika VI B³ oraz Słomki i Styka IV B). Punktem orientacyjnym jest dom płonący w połowie wsi. Za nami w odległości 300—400^x idzie rezerwa — kompanie Paderewskiego i Lisa z VI B. Pozostałe dwie kompanie IV B. strzegą okopów na Świętym Krzyżu.

Wysłane naprzód patrole wchodzą do Zależa i płoszą posterunki rosyjskie. Pada jeden, drugi strzał odosobniony, a zaraz potem zarechotały niby żaby na wiosnę karabiny piechoty rosyjskiej na całej linii przed nami, jak gdyby z pod lasu Domaniewickiego. Kule górują, brzęcząc zjadliwie. Ma się wrażenie, że, w ciemnościach pobłądziwszy, trafiliśmy na pasiekę, gdzie pszczoły, zazdrosne o owoc swej żmudnej pracy — chcą brzękiem

³ B. — autor w ten sposób oznacza batalion (przyp. red.).

swym przerazić łakomego śmialka. Pada ciężko ranny major Trojanowski. Komendę nad I batalionem obejmuje kpt. Herwin (VI B). Schyleni — posuwamy się wolno, spokojnie, spacerowym krokiem naprzód. Wreszcie dochodzimy pierwszych zabudowań Zależa. Na prawo od nas — na mokradłach — kompanie Słomki i Styka posuwają się dalej naprzód — sięgając już prawie swym prawym skrzydłem lasu.

Zaniepokojeni Rosjanie wzmagają ogień. Zaszczekał wreszcie i karabin maszynowy na końcu wsi. Echo jego gęstych i miarowych strzałów obija się rozgłośnie o zabudowania i potężnieje. Pojawiają się pierwsi ranni. I właśnie w chwili, gdy kompania Kordiana rusza dalej, w głąb wsi — nadchodzi rozkaz cofnięcia się. Zdumienie. Wszak nie daliśmy ani jednego strzału, bez strat prawie zajęliśmy pierwsze już zabudowanie — i rozkaz odwrotu? Żołnierz jednak w bitwie nie filozofuje. Wolno, niosąc pięciu rannych, wycofujemy się. O 12.00 przychodzimy do Krzywopłotów i tam wtłaczamy się do 7—8 cuchnących i zniszczonych chałup i stodół, by w nich do rana poczekać. Tymczasem oficerowie udają się na odprawę do mjr. Trojanowskiego, który przed swym wyjazdem do szpitala chciał wydać rozkazy.

Następnego dnia (18 XI) IV batalion pozostaje na pozycji w okopach, zaś VI B rusza o 8.30 rano do ataku, mając za zadanie zajęcie wsi Zależa i umocnienie się w niej. Sąsiednie oddziały austriackie atakować będą ze skrzydeł pozycję Rosjan na skraju lasu Domaniewickiego. Artyleria ma wspierać nasz atak ogniem, skierowanym na linię okopów rosyjskich przed lasem i w lesie. Z ciężkim sercem wracamy do oddziałów. Zaduch nie do wytrzymania w przepelnionych pokurczonymi ciałami żołnierzy izbach. Nocujemy więc w pałacu adiutanta Suszkowskiego, tj. w obszernej ziemiance, zbudowanej przed kilkoma dniami. Ciemności panujące rozjaśniają promienie ledwie, ledwie tłącego ogniska. Po długich staraniach udało nam się zrobić herbatę. Na pogawędce spędziliśmy resztę nocy. Skoro świt, poczęliśmy szykować kompanie do odmarszu na pozycję. Głodni i zmęczeni — niechętnie zbierali się żołnierze. O 7.30 już siedzieliśmy w okopach na skraju lasu. Dopiero kilka kulek rosyjskich ożywia oddział. Posypały się drwiny pod adresem przeciwnika. — Kpt. Satyr wydaje ostatnie rozkazy. Oficerowie rozchodzą się do oddziałów. Mamy jeszcze pół godziny czekać, aż do sygnału gwizdkowego. Czekanie denerwuje. Jużby radzi żołnierze bój rozpocząć, choćby najkrwawszy, byle nie czekać, byle odwrócić uwagę od natarczywie nieznośnych myśli. Ruszają wreszcie patrole na skrzydła. Żołnierze czują zbliżającą się chwilę boju, poprawiają tornistry i pasy, przekładają amunicję do kieszeni.

Gwizdek! Krótki rozkaz po nim bezpośrednio i długa linia półkompanii pod Paderewskim wynurza się z rowu. Zrazu wolno, a potem w miarę zwiększania się ognia Moskali

coraz szybciej sunie naprzód. Zdyszani ludzie przypadają do ziemi, by się za chwilę znów do skoku zerwać. Rażony w serce pada por. Paderewski. Orientuje się kpt. Satyr, że rozwijanie dalszych kompanii na tym wyrównanym terenie, który miał być mogiłą dla Rosjan w razie ataku z ich strony, może stać się teraz dla nas zgubnym. Skierowuje więc kompanię Ludwika i pozostałą podkompanię Paderewskiego na wieś Załęże i trochę na lewo. Trzeba jednak i tutaj przebyć 1000 X⁴ po równinie, nim się dosięgnie zabudowań. W liniach półkompaniami mkną naprzód. Już pierwsza półkompania dopada zabudowań Załęża, gdy nagle zgrzytnęły szyderczo dwa karabinki maszynowe, siejąc zniszczenie. Zda się, iż w szalonym pośpiechu i nawale strzałów, gruchot ich zlewa się w jeden potężny huk. Zakotłowało się w linii. Nadbiega jednak druga półkompania i, porwawszy pierwszą, pod kierunkiem kap. Herwina, pędzi dalej, byle jak najprędzej dosięgnąć choćby połowy wsi, skąd już można by otworzyć ogień dla powstrzymania huraganu ognia moskiewskiego. Ludzie padają gęsto. Pada ppor. Medyński, prowadzą rannych ppor. Szatana i Denochę. Kilkanaście ciał wije się na ziemi. Wreszcie i trzecia linia z por. Ludwikiem nadciąga. Wieś zasypana jest kompletnie gradem kul. Wprost niema miejsca wolnego od nich. Wysłana z rezerwy kompania Lisa traci trzecią część swego składu, nim wreszcie znajduje jakie takie przykrycie we wsi. Tymczasem piekło ognia zwiększa się, bo oto przemówiły basem armaty rosyjskie, zarzucając zabudowania Załęża granatami. Porywa się więc Herwin i na czele plutonów Łubieńskiego, Małego i Kwiatka małymi szybkimi skokami po 2—3 ludzi dochodzi do krańca wsi — celu ataku, skąd już tylko przestrzeń 300—400 ×⁵ dzieli go od lasu Domaniewickiego. — Godzina 11.00 Karabiny rosyjskie pracują gorączkowo, aż się las cały trzęsie i gotuje. Nie bacząc na straty, plutony Wiedeńczyków ostrzeliwać się już zaczynają, gdy nagle zostają zarzucone szrapnelami źle przystrzelanej artylerii austriackiej. Zostawiwszy 10 zabitych i ciągnąc kilkunastu rannych, cofają się do połowy wsi, gdzie już półkompania Ludwika zaczęła się okopywać pod ogniem. Rozbitki zasilają linię strzelecką. Wsięki na prawo i lewo rosną z zadziwiającą szybkością. Chodzi jednak o to, aby zbadać, skąd głównie, z jakiego punktu skierowany jest ogień moskiewski. Wychodzi na łąkę kpt. Herwin i, przywoławszy ppor. Łubieńskiego, lornetuje pozycję moskiewską, odległą o 600—700 kroków.

A karabinki maszynowe rosyjskie — jakby urażone pogardą dla skuteczności ich ognia — szaleć poczęły, obrzucając śmiałków chmurą kul, aż się ziemia wkoło nich zakurzyła. Z zapartym oddechem śledzimy, oczekując lada moment niechybnej katastrofy. Wreszcie

⁴ Autor najprawdopodobniej znakiem „X” oznacza metry (przyp. red.).

⁵ Ibidem.

Herwin odwrócił się, włożył spokojnie lornetkę do pochwy i spokojnie wrócił za parkan kamienny, okalający domostwo wiejskie.

Rozpoczęliśmy miarowy ogień, skierowany na podnóże lasu. W pierwszej linii złane i przemieszane ze sobą kompanie Ludwika, zabitego Paderewskiego i Lisa. Na prawo w tył — kompania Kordiana, który nadciągnął tymczasem.

Zamiast zapowiedzianego sztabu 92 Brygady, ze skrzydeł ukazała się kompania czy też dwie od strony Bydlina i, posunawszy się na 2000 ×⁶ od nieprzyjaciela, prawie nieostrzeliwane wycofywać się poczęły. Godzina 12.00; co dalej począć wobec nierozpoczynania się zapowiedzianego ze skrzydeł ataku? Kpt. Herwin posyła meldunek i prosi zarazem o instrukcje.

Tymczasem, pomimo huraganowego z naszej strony ognia, aż lufy parzyć poczynają, złamać ognia rosyjskiego nie sposób. Czuć wyraźnie przewagę, ilościową. Rannych i zabitych przybywa — z amunicją krucho.

O godz. 1.15 przychodzi rozkaz od kpt. Satyra, że wskutek zmian w zarządzeniach 92 Br[ygada], ma się wycofać. Oslaniać wycofywanie ma ogniem z pozycji IV B i artyleria.

Ryknęły nasze śmiesznie małe armatki, wywołując zdumienie u Moskali. Zionęły raz, drugi, dziesiąty ogniem i dymem z otwartych pozycji. Zręcznie rzucane rwać się poczęły granaty tuż nad okopami moskiewskimi, tłumiąc siłą swego ognia ich piechotę. A baterie, jak gdyby zachęcane odniesionym tryumfem, jęły pracować ze zdwojoną siłą. Ciskały się kurczowo, dymily, huczały małe Brzozy [kpt. Ottokar Brzoza-Brzezina] armatki. Poczerwiali od prochu, okutani kłębami dymu zwijali się pracownicy nasi artylerzyści, niosąc ulgę cofającej się piechocie i umożliwiając jej zabranie rannych.

Sekcja za sekcją z rannymi odchodziła z pola walki. Pozostałe w końcu dwa plutony ostrzeliwały się do nadejścia zmroku. Wreszcie i one cofnęły się do lasu przy św. Krzyżu. Przy ostatniej chałupie Zależa zebrało się jeno sześciu oficerów VI B, omawiając wypadki stoczonej bitwy. W ciemniejszej dali widać było czarne plamy na polu i łące — świadkowie niemi na zawsze, stoczonej walki. Ogień rosyjski słabł. Z rzadka tylko zabrzęczała kulka. Cisza zbliżającej się nocy kładła kres walce.

Pospieszaliśmy do lasu — miejsca zbiórki batalionu i punktu opatrunkowego. Widok przygnębiający: obok chałup w rząd ułożono kilku zmarłych od ran. A wewnątrz — pośród brudu, na słomie, pookrywani kocami i płaszcami leżeli ranni. Jedni, już opatrzeni, w oczekiwaniu na wozy transportowe, inni krwią zbroczeni, ze spokojem ból

⁶ Ibidem

znosząc, czekali na swoją kolej. Doktorzy tymczasem szybko i zręcznie dezynfekowali rany, nakładali stopy bandaży, krępując nimi mocno rany. Pomimo wytężonej pracy, zdawało się, że rannych nie ubywa.

Już zupełnie ciemno było, gdyśmy się zebrali w barakach pod Kwaśniowem dla zrobienia przeglądu batalionu. Okazało się, że na 440 biorących udział w boju, 177 zostało na placu rannych i zabitych, a więc ponad 40%.

Mimo woli żał serce ściszał, że straty poniesione nie dały widocznego rezultatu, wskutek odwołania wydanych poprzednio rozkazów. Jednak wykonanie otrzymanego rozkazu w warunkach tak trudnych, pod deszczem ołowianych pocisków karabinowych i armatnich, prawie bez pomocy artylerii w czasie samego ataku, wreszcie bez broni tak charakterystycznej dla boju piechoty w obecnej wojnie — bez karabinów maszynowych — dawało nam wewnętrzne zadowolenie i uchroniło od depresji moralnej. I gdy rano polecono VI batalionowi wysłać kompanię jedną dla wzmocnienia IV baonu w przewidywaniu ponownego ataku, to trzeba było spośród nadmiaru zgłaszających się oficerów losować. Kompanię poprowadził Ludwik.

Pod gradem szrapneli wolno, w małych, luźnych grupkach przebywaliśmy kilometrowej przeszło długości równinę, dzielącą Krzywopłoty od św. Krzyża. Szczęście nam sprzyjało.

W słonecznym, łagodnym świetle jesiennego poranka, z otuchą, jaką daje niechybnie początek działań ofensywnych, posuwały się drobne figurki naszych żołnierzy, przypadając plackiem do ziemi, gdy gwizd płonących szrapneli i trzask wybuchów stawał się zbyt bliskim i natarczym. Wreszcie weszliśmy w martwe pole wzgórza Św. Krzyża i tam jako rezerwa przesiedzieliśmy do dnia następnego (20 XI). Widzieliśmy jak na dłoni posunięcie linii austriackiej naprzód, dzięki czemu mogliśmy pozbierać zabitych w boju poprzednim. Zsiniały i skostniałe zwłoki poległych towarzyszy broni, legły we wspólnym, prostym grobie. Po południu nadszedł rozkaz zwalniający oddziały nasze na wypoczynek.

Po skutej mrozem ziemi, wsluchane w odgłosy oddalającej się bitwy, wynędzniałe i strudzone posuwały się szeregi piechoty polskiej. Pochylone, jakby pod ciężarem nawały myśli o poległych towarzyszach, szły w milczeniu na zasłużony spoczynek.

Szczodry posiew krwi nie pozostał bez śladu. Wszczepił on w duszę uczestników hart i zawziętość, czynnik nieodzowny zwycięstwa.

9 maja 1915 r.



Ottokar Brzozga-Brzezina, komendant artylerii



Artylerzyści



Odprawa przed bitwą pod Krzywopłotami



W marszu



W marszu



Michał Karaszewicz-Tokarzewski (drugi z prawej) z legionistami



Przed bitwą

NA PODHALU

Chyżówki, Słopnice, Limanowa, Tymbark, Marcinkowice, Nowy Sącz — oto główne punkty upartej walki, pełnej ofiar i bohaterstwa, stoczonej przez pułk pierwszy Legionów na Podhalu w ciągu ostatniego tygodnia listopada i pierwszej połowy grudnia.

Oddziały nasze miały do czynienia ze znacznie liczniejszym przeciwnikiem, toteż kilkakroć posuwając się z niesłychaną brawurą w sam środek operacji nieprzyjacielskich, nieraz cofać się musiały, ale zawsze po to tylko, by z powrotem wracać i jeszcze dalej posuwać się ku przodowi.

Odpoczynek nasz w Zawoi po dwumiesięcznych marszach i walkach, zakończonych słynnym wywiadem bojowym z Krzywopłotów na Ulinę Małą do Krakowa (11–13 listopada), został niespodzianie przerwany; wieczorem 20 listopada gruchnęła wieść, że przyjechał kapitan generalnego sztabu, który przywiózł rozkaz wymarszu. Wieść była prawdziwa. Nazajutrz, wczesnym rankiem stał już cały pułk na gościńcu, wiodącym do Makowa. Tego samego dnia byliśmy w Makowie, 23 listopada wsiedliśmy na pociąg, który miał nas gdzieś zawieźć.

Jechaliśmy szlakiem kolei transversalnej. Pociąg drżał od wesółych, zda się beztro-
skich pieśni żołnierskich i mknął, mknął...

Późnym wieczorem zatrzymał się wreszcie w historycznej Mszanie Dolnej; dalej tor był zniszczony. Rozkaz: „wysiadać!” i długi, uciążliwy marsz gościńcem po gołoledzi ku Dobrej.

Mróz trzaskający, piękna zimowa pogoda. Widnokrąg przesłaniają kolosy gór, pokrytych białymi lasami. Zimne promienie księżyca kąpią się w szronie drzew przydrożnych. A na gościńcu zgięte pod ciężarem rynsztunku postacie żołnierskie, gnane przed siebie jednym słowem — rozkazem.

W nocy już, znużeni, zziębnięci przyszlismy na miejsce, by się dowiedzieć, że większa część wsi zajęta przez naszą i austriacką kawalerię (dragonów). Dwa bataliony zdolano

pomieścić, dwóm innym – naszemu trzeciemu i drugiemu kazano iść w stronę Jurkowa, by go zająć, jak i sąsiednią wieś — Chyżówki.

Zeszliśmy z gościńca. Prowadził w zastępstwie majora Śmigłego-Rydza, który został na odprawie w komendzie głównej, porucznik Scewola-Wieczorkiewicz.

Zaledwie uszliśmy kilometr, zatrzymało nas kilku chłopów–górali z wiadomością, że we wsi, przeznaczonej nam na nocleg, kwaterują Moskale. Wiadomość ta, najmniej może spodziewana, ożywiła nas od razu. Wieczorkiewicz zawezwał kilku oficerów na naradę.

Chłopi twierdzili, że jest ich koło stu. Przyjechali przed wieczorem; jeździli po owies do Jurkowa i Wilczyc, następnie cofnęli się i zakwaterowali w Chyżówkach.

Postanowiono zdobyć kwatery.

Porucznik Olszyna pójdzie na przełaj przez Łopień (kota 951), oparłszy się o strumień Czarną Rzekę, zajmie przełęcz (wzgórze 695); tym sposobem odetnie odwrót na Słopnice Królewskie. Wywiad pod same Chyżówki poprowadzi podporucznik Dąbrowa, po zbadaniu sytuacji wróci do Jurkowa, gdzie na jego meldunek czekać będzie reszta.

Po chwili wydłużyła się na śnieżnym polu kolumna Olszyny; za przewodnika służył góral, jeden z tych, którzy przynieśli wiadomość.

W Jurkowie, zachowując pełną gotowość, wchodziliśmy oddziałami naprzemian do chat, gdyż żołnierze tak zziębli, że niektórzy mówić z zimna nie mogli.

Koło godziny 1.00 po północy wrócił Dąbrowa. Przyniósł meldunek, że Moskale czują się bezpiecznie i śpią jak zabici. Czuwa tylko kilka posterunków. Zaraz potem ruszaliśmy wprost na Chyżówki.

Bez najmniejszego szmeru wyciągnął się sznur dwuszeregiem na wąskiej górskiej ścieżynie. Po przejściu kładki na małym strumyku, weszliśmy w obszerne defile [wąwóz] pomiędzy szczytami Łopień (kota 951) z lewej strony, a Mogielnicą (kota 1171) z prawej. Na dnie tej kotliny, nad potokiem Łososią leży wieś Chyżówki.

Ubezpieczenie przednie prowadzi podporucznik Kruk-Grzybowski. Jestem w straży przedniej. Pół kilometra jeszcze do Chyżówek. Zatrzymujemy kolumnę. Grzybowski wysłał patrol pod dowództwem kaprała Lubonia-Kamieńskiego (poległ w bitwie pod Łowczówkiem). Wkrótce przychodzi meldunek. Moskale kwaterują, ale w przeciwnym końcu wsi, na osiedlu poza parowem. Pierwsze chałupy spatrolowane.

Idziemy dalej. Instynktem wyczuwamy każdy ruch, badamy każdy zaułek. Szmer górskich strumieni, szum lasu na wirkach [szczytach], bicie własnego serca i ten sznur ludzi cichy daje obraz przytającej grozy.

Wąska drożyna, pokryta szkliwem lodowym, utrudnia i tak uciążliwy marsz; zapominamy jednak o zmęczeniu i głodzie, rozgrzani myślą o tym, co za chwilę być może.

W połowie wsi Wieczorkiewicz nas zatrzymuje i wydaje krótkie dyspozycje: porucznik Burhardt skręci z drogi na lewo, posuwać się będzie u podnóża Łopienia i z tej strony zaatakuję; podporucznik Tatar-Trześniowski okrąży osiedle na prawo pod Mogielnicą, zamknie ścieżyny przez Dzielec (wzgórze 755) do Słopnic Szlacheckich i nawiąże łączność z Olszyną; pozostałe plutony pójdą wprost drogą i rozpoczną atak.

Po chwilowym odpoczynku doszliśmy wreszcie do miejsca, gdzie wieś urywa się przecięta parowem. W dali widać duże osiedle — nasz cel. W tym czasie przybył nasz komendant, major Rydz i objął komendę. Grzybowski zagłębia się już tyralierką w krzaki parowu; ruchem oskrzydłającym na prawo idzie pluton podporucznika Zarskiego-Radońskiego; łączność z Tatarem ma utrzymać pluton podporucznika Rawicza-Mysłowskiego; drogę, która wiodła wąską przełęczą, zamyka pluton Soroki-Zbijewskiego.

Wszystko gotowe. Każdy ma swe zadanie; można polegać, że wykona dobrze. Z zapałym oddechem nadsluchujemy ostatniego rozkazu. Krzepko trzymamy bagnety. Czekamy znaku. Minuty wydłużają się w nieskończoność. Osiedle przed nami jak na dłoni śpi spokojnie. Na tle białej ściany chaty rysuje się cień pikiety.

Moskale mają sami dać hasło do ogólnego ataku: kapral Sęk-Dobrowolski (poległ w bitwie pod Łowczówkiem) z kilkoma ludźmi wychodzi na skraj przeciwnego brzegu parowu; łamie umyślnie gałąź. Trzask — i po chwili ciszę niepokalaną przerywa donośny, przeciągły, echem rozniesiony okrzyk:

— Stooo! kto i-diooooot!

Odpowiedzią na to było gromkie nasze „hurra!”

Z parowu, z krzaków, zza drzew wyłoniły się postacie naszych. Kilkanaście odosobnionych strzałów padło z osiedla. Łańcuch zacieśnia się coraz bardziej; Moskale znaleźli się w położeniu bez wyjścia — zginąć lub poddać się; jak zwykle wybrali to drugie.

Zaroilo się śpiące osiedle. Okrzyki radości, przerażenia, błagania przerwały ciszę. Moskale, często nieubrani, wybiegali z chat bezbronni, podnosząc ręce do góry, prosili o życie. Zganiałismy biegających, wyciągaliśmy z chałup zaspanych jeszcze; ludność wskazywała ukrytych.

Część naszych, chciwi łupów, dorwała się do troków przy siodłach, wyciągając stamtąd butelki wódek, oselki masła i sera, owoce suszone, cukier, łakocie, jednym słowem wszystko, co Moskale zdążyli zrabować, a nie zdołali zjeść.

Tymczasem noc zaczęła blednąć. Jeńców (83, w tym czterech oficerów) pod eskortą, uzbrojoną w zdobyte lance, odprawiono do Dobrej; na konie (koło 70) powsiadali nasi żołnierze w tornistrach, co dość komicznie wyglądało. Z tej ostatniej zdobyczy skorzystali nasi ułani.

Wśród jeńców było kilku Polaków. Opowiadali, że szwadron ten, przeznaczony specjalnie do wywiadów, został utworzony z doborowych żołnierzy różnych pułków. Tego dnia, którego wojna dla nich została skończona, mieli być w Mszanie Dolnej. O kawalerii, kwaterującej w Dobrej od kilkunastu godzin, nic nie wiedzieli. W przejeździe przez Limanową rozbili browar, co spowodowało uspienie czujności doborowej kawalerii.

W ataku tym nie ponieśliśmy prawie żadnych strat. Mielśmy tylko 2 rannych, szeregowca i oficera (podporucznika Świąteckiego).

Tego samego dnia przez defile [wąwóz] Chyżówki przeszedł batalion kapitana Sława-Zwierzyńskiego, co nas upewniło, że spać po pracy możemy spokojnie.

Po epizodzie w Chyżówkach nastąpił kilkudniowy „kontredans” w Limanowskim. Najpierw marsz do Wilczycy, potem posunięcie się naprzód do Limanowy, znów odwrót, potem napad na Tymbark i znów cofnięcie się. Od Limanowy jednak za żadną cenę pułk ustępować nie chciał i nie mógł — tu bowiem była linia tyłów, poza którą nie wolno było przepuścić Moskali. To też bronił tu zacięcie swych pozycji, by okazać, że powierzone mu zadanie samodzielne, partyzancką obronę Podhala, poprowadzi i wypełni skutecznie. Kulminacyjnym punktem walk był marsz Piłsudskiego na Nowy Sącz, marsz kilku batalionów na cały — jak się później okazało — korpus rosyjski.

W potyczkach na Podhalu obok piechoty walczyli godnie nasi ułani pod wodzą Beliny oraz oddział artylerii kap[itana] Brzozy, którego udział zaznaczył się kilkoma pięknymi epizodami.

Słota i mrozy późnej jesieni oraz trudności terenu górskiego poddały ciężkiej próbie wytrzymałość polskiego żołnierza, z której oddziały nasze wyszły więcej jak zwycięsko, bo od ostatnich dni listopada po dziś dzień walczą niestrudzeni, idąc wciąż naprzód z nie-słabnącą brawurą.

Po wyprawie nocnej na Chyżówki rozkwaterował się pułk w Jurkowie. Trzeciego dnia pobytu w tej miejscowości batalion III pod wodzą Sława otrzymał rozkaz odmarszu od Słopnic Królewskich i posunięcia się o ile możliwości najdalej w kierunku Limanowy. Ponieważ straże przednie tego batalionu stwierdziły, że obok Słopnic tylko od strony Kamienicy znajdują się słabe patrole rosyjskie, batalion pomaszerował wprost do

Limanowy, gdzie zajął kwatery. Stała tam już kawaleria austriacka, której sieć patroli sięgała do Kasiny, oddalonej 7 km od Nowego Sącza.

Noc i poranek następnego dnia przeszedł spokojnie. Dopiero około południa patrole konnicy doniosły, że szosą od Sącza zbliżają się trzy szwadrony ułanów rosyjskich, a jednocześnie wzdłuż toru kolejowego posuwają się dwa szwadrony z artylerią.

Trąbki zagrały na alarm, a w chwilę potem batalion nasz obsadził przystanek kolejowy i drogę prowadzącą do Starej Wsi. Kompania piąta pod dowództwem Sawy otrzymała rozkaz obsadzenia oddalonej nieco szosy. Już w połowie drogi jednak dostała się w silny ogień artylerii rosyjskiej, która szybko zdołała wstrzelać się w nasze szeregi. Z zimną krwią weteranów rozwinęła kompania swe linie, pod gradem szrapneli, pękających naokół. Zaraz w pierwszej chwili oficer Stopyra, dowodzący plutonem, padł ugodzony pociskiem. Omdlewając z bólu, zdołał jeszcze wydać komendę przesunięcia linii swego plutonu.

Wśród szalonego ognia armat i karabinów spiesznej kawalerii do zmierzchu wytrwał batalion na pozycjach. Walka obfitowała w trudne, dramatyczne niemal chwile. I tak na przykład kompania Sawy wystrzelała całą amunicję i stałaby się wprost bezbronną, gdyby nie pewien dzielny ułan Beliny, który nie zważając na grad kul, w galopie dotarł do odległych pozycji austriackich i przywiózł amunicję.

Pod osłoną nocy cofnął się batalion do Łososiny, gdzie oczekiwała go już pomoc w liczbie dwóch kompanii pierwszego batalionu. Na linii nowych pozycji wrzały nazajutrz drobne utarczki z kawalerią nieprzyjacielską. Jeden z plutonów kompanii Wira dopuścił patrol, złożony z 50 konnych, na odległość kilkudziesięciu kroków i dopiero wówczas przywitał go salwą, kilku Moskali padło na miejscu, wielu zranionych uciekło pośpiesznie.

Batalion trzeci w czasie tych walk zajmował pozycję w dolinie Chyżówki między wzgórzami Mogilnicą i Łupieniem i 28 listopada po krótkiej walce rozbił patrol kawalerii rosyjskiej, kładąc trupem oficera i zabierając dwóch żołnierzy 17 pułku huzarów do niewoli, następnie spełniając rozkaz, cofnął się do Słopnic, gdzie również zmierzał batalion 5 i część 1. Nowe pozycję pod Słopnicami zajęły: batalion trzeci oraz część brygady kawalerii, wspomaganej bateriami armatnimi. Aby umożliwić przejście 3 batalionu na pozycję, batalion 5, zmęczony poprzednimi walkami, rozwinął linię tyralierską przed Słopnicami i pod silnym ogniem artylerii konnej oraz 5 szwadronów ułańskich wytrwał na pozycjach do godz. 1.00 w południe. Dopiero, spełniwszy swe zadanie, cofnął się do rezerw. Tymczasem patrol wysłany w kierunku Tymbarku, przyniósł wiadomość, że w miejscowości

tej rozkwaterowały się kawaleria i artyleria rosyjska. Natychmiast wysłano batalion 1 wraz z przydzielonym karabinem maszynowym w kierunku Tymbarku, celem zaalarmowania wojska rosyjskiego. Batalion pod komendą Kuby wywiązał się wspaniale z zadania.

Podsunięwszy się pod Tymbark od strony Limanowej, otworzył gęsty ogień na miasteczko. Zaalarmowana załoga rosyjska rozwinęła natychmiast front w kierunku Limanowej. Po zaciętej walce Rosjanie, nie orientując się widocznie, z jaką siłą walczą, cofnęli się pośpiesznie w kierunku N[owego] Sącza, ścigani przez wojska armii, których rezerwę stanowił 3 batalion. Tymbark był wolny.

Bezpośrednio potem, wytężonym marszem, który utrudniała w wysokim stopniu gołoledź panująca na górskich, nierównych drogach, pułk zdążył przez Limanową do Kaniny i Wysockiego. Żołnierze nasi wchodzili w okolice, w których jeszcze przed kilkunastoma godzinami grasowały patrole kozackie, rabując wsie i znęcając się nad ludnością. To też wszędzie witano ich radośnie. Były to wyjątkowe chwile, w których ucichł zgiełk walki, a żołnierz mógł oddechu zaczerpnąć. Tylko Beliniacy nasi w okolicach Wysockiego przez całą noc tłukli się z patrolami rosyjskimi.

Nazajutrz, 5 grudnia, rozpoczyna się dla I pułku okres najcięższych walk, w których mała garstka miłością ojczyzny natchnionych żołnierzy, potrafiła całej armii wroga dzielnie stawić czoło.

Rano rozpoczął się dalszy marsz w kierunku Nowego Sącza. Górskimi drogami, które sloty jesieni i pierwsze mrozy doprowadziły do najgorszego stanu, cztery bataliony nasze I pułku dotarły do Homranic, Woli Marcinkowskiej, Marcinkowic, aby z tych pozycji zagrozić skrzydłu nieprzyjacielskiemu. Już mrok zapadał, gdy pionierzy nasi rozpoczęli budowę mostu na Dunajcu.

Sądząc z doniesień patroli kawaleryjskich, należało przypuszczać, że z wyjątkiem Rdziostowa i Trzetrzewiny, droga do N. Sącza jest wolna. Planowano nocny atak na N. Sącz w nadziei, że wojsko nasze zdoła uwolnić miasto od nieprzyjaciela, który tam umieścił dywizję konnicy i dwie baterie dział. Mogło to się stać jednak tylko przy najlepszym zbiegu okoliczności. W każdym razie atak naszego pułku mógł wciągnąć do walki przeważną część wojska rosyjskiego i w ten sposób umożliwić armii austriackiej dokończenie zwycięstwa.

Na wzgórzach pod Rdziostowem ustawiono artylerię naszą, która na wypadek nieudania się wyprawy miała osłaniać odwrót naszych szeregów.

Gdy noc już zapadła, oddział Beliny przeprowadził się wpław przez Dunajec, aby zbadać okolicę. Zaraz obok wsi Dąbrowy ulani nasi natknęli się na dwa szwadrony 32 pułku

dońskich kozaków. Wywiązała się zaciekle walka, w której padło kilku kozaków, kilkunastu zostało zranionych, dwóch zaś dostało się do niewoli, prócz tego zdobyli nasi ulani 13 koni rosyjskich. Zeznania jeńców miały znaczny wpływ na dalsze nasze plany. Donieśli oni mianowicie zgodnie, że na N. Sącz ciągnie nowy korpus rosyjski, co zasługiwało tym bardziej na wiarę, że i nasze patrole w okolicy Dąbrowy natknęły się na nowe, znaczne siły rosyjskie idące ze wschodu.

Wobec tego zaniechano ataku na N. Sącz i tylko artyleria nasza otrzymała rozkaz ostrzeliwania mostów w N[owym] Sączu. Około godz. 3.00 w nocy usłyszano wyraźnie na szosie wiodącej z Dąbrowy do N[owego] Sącza odgłosy poruszających się trenów. Natychmiast artyleria nasza otworzyła w tym kierunku silny ogień, wskutek czego tren stanął na całej linii. O świcie jednakże, ze względów taktycznych, cofnięto artylerię głębiej w teren, a równocześnie po raz wtóry kawaleria nasza przeprawiła się przez Dunajec, celem zbadania pozycji nieprzyjacielskich. W chwili jednak gdy ulani znaleźli się na drugim brzegu, Moskale rozpoczęli szalony ogień ze wszystkich rodzajów broni. Tak więc dopiero teraz okazało się, że trzy nasze skromne bataliony stały nie naprzeciw taborów, jak to w nocy mylnie sądzono, ale naprzeciw całego korpusu armii rosyjskiej, idącego od Nowego Sącza. Był to wspaniały, a zarazem pełen grozy widok, gdy nasi ulani, wśród gęsto pękających szrapneli, wśród gradu kul karabinów maszynowych i gorączkowych salw piechoty w pełnym galopie, pędzili wzdłuż pozycji nieprzyjacielskich. Dopiero las pobliski osłonił naszą dzielną kawalerię przed szalejącym ogniem. Celny ogień ulanów naszych wystrzelał prawie całą obsługę baterii nieprzyjacielskich, następnie wśród okropnego ognia powrócił oddział wpław ku swoim.

Mimo, iż gwałtowny atak rosyjski na Marcinkowice szedł z dwóch stron, a mianowicie od Rdziostowa i Dąbrowy, nie zaniechał nasz pułk ofensywy w kierunku N. Sącza. Na linię Marcinkowice–Rdziostów wysłano część batalionu III, która pod okropnym ogniem artylerii i karabinów maszynowych rozwinęła front bojowy na pozycjach, położonych o wiele niżej od nieprzyjacielskiej. W istnym piekle bezustannego ognia żołnierze nasi wytrwali przez półtorej godziny, nie pozwoliwszy wielkiej nawale wroga ani kroku postąpić naprzód.

Dla przedłużenia frontu wysłano kompanię z I batalionu pod komendą Władysława Milki, a równocześnie artyleria kpt. Brzozy zajęła pozycję na wschód od Homranic i ostrzeliwała posuwające się szeregi rosyjskie od strony Rdziostowa.

Kompania Milki dostała się od razu w szalony ogień szrapneli. Nieprzyjacieli, który na garstkę naszych forsował atak dwóch pułków, ostrzeliwał obecnie pozycje nasze nie tylko z frontu, ale także z lewej flanki. Były to chwile straszne. Komendant Milko pada

ugodzony pociskiem szrapnela, obok niego pada sześciu żołnierzy, a z piekielnym hukiem wystrzałów mieszają się jęki rannych.

Sily rosyjskie, które zajęły tymczasem Trzetrzewinę, rozwinęły linię na dominującej szosie, tak że obecnie już i z prawej flanki zagrażały naszym. Wówczas brygadier Piłsudski, spokojny jak zawsze, panujący nad sytuacją, niezwykle umiejętnie wycofał nasze siły do Pisarzowej pod osłoną artylerii.

Na pobojowisku zostało kilkunastu rannych pod opieką patrolu sanitarnego, złożonego z komendanta Oberharda ze Lwowa, Lublingera, Sikorskiego i Swiderskiego. Ponieważ Rosjanie musieli po walce zmienić pozycję, pozostawili naszych rannych, biorąc do niewoli naszych dzielnych sanitariuszy.

W Pisarzowej I i III batalion przez cały dzień wytrzymał napór przeważających sił nieprzyjaciela. Jednym z najpiękniejszych fragmentów tej nowej walki było dzielne zachowanie się naszej artylerii pod komendą kpt. Brzozy. Bez pomocy piechoty dwukrotnie odparła ona silny atak rosyjski, strzelając z otwartych pozycji pod ogniem ciężkiej artylerii rosyjskiej i karabinów maszynowych. Po wejściu do Nowego Sącza okazało się, że strzał armatki Brzozy rozbił rosyjskie wielkie działo.

Legionistom walczącym na Podhalu niezwykle dodawało ducha zachowanie się ludności tamtejszej, jak najsympatyczniejsze pod każdym względem.

„Człowiek oddycha swobodnie — wspominał owe chwile brygadier Piłsudski — czuje, że jest w ojczyźnie, ma otoczenie, które z nim sympatyzuje i dopomaga, w czym może. Pomagali nam wszyscy bez wyjątku: chłopci okazali nadzwyczajną ofiarność i wysilili cały spryt góralski w oddawaniu nam usług. Szli nam na rękę drobni obywatele ziemscy, nawet Żydzi. A wprost nie znajdę słów zachwyty dla zachowania się księży, tak serdecznie nas przyjmowali, ostatnie [zapasy] wyciągali, byle tylko dopomóc, działali dla nas kazaniami na ambonie”.

Wywiady zawsze były doskonałe, współdziałało w tem wszystko; jakich dowcipnych sposobów chwytala się ludność w tym celu, będzie można dopiero później opowiedzieć. W sposobach tych objawił się i zapal, i oryginalna chytrość chłopska. Rwali się starzy chłopci i 16-letni chłopacy, by oddać przysługę swoim; cała wieś była w ruchu, wszystko było zajęte myślą, jakby się przydać. Kobiety wyciągają z komór resztki skromnych zasobów, byle uraczyć gości; czekają na każde skinienie; dopytują, czy nie przyda się mleko, słoma, opał; na kwaterach wysilają się, by dać możliwe w tych warunkach wygody.

Moskal wszędzie znienawidzony; ludność nie daje się ogarniać panice, dokąd on przychodzi, nie ucieka, ale z zaciętymi zębami, z typowym spokojem góralskim, przypatruje

się jego gospodarce, obserwuje jego ruchy, aby wiedzieć o nich, co potrzeba i zrobić z tego użytek, jaki należy. Władze wojskowe austriackie nie miały dość słów uznania dla zachowania się ludności polskiej w Galicji zachodniej, zwłaszcza w walkach naokoło Dunajca; częstokroć podkreślały z naciskiem stanowisko jej, pełne życzliwości i usług. Chłop polski był uświadomiony co do swej roli...

W Legionistach widział nie tylko obrońców, ale przede wszystkim czuł w nich własne swe dzieci. Toteż opiekował się troskliwie rannymi, ukrywał starannie odbitych od pułku i zaginionych, jeńcom ułatwiał ucieczkę. Żal ogarnął Beliniaków za dwoma straconymi towarzyszami, Stefanem Orłowskim i Chwalibogiem Pieckiem; albo polegli, albo dostali się do niewoli. Aż tu po tygodniu wracają z całym rynsztunkiem, niosąc w dodatku zdobycz w postaci dwóch siodeł i apteczki felczera rosyjskiego. Pomogli chłopom...

A jakie uczucia względem żołnierzy Legionów żywi ludność miejska i inteligencja, okazał Nowy Sącz. Wszedł tam Piłsudski w niedzielę 13 grudnia wieczorem. Mimo zmierzchu dostrzegli mieszkańcy wkroczenie swoich dzieci. Tłumy zbiegły się na powitanie. Zabrzmiały wiwaty, okrzyki radości, starzy ludzie z rozrzewnienia płakali, rzucano się wzajem na szyję. Zbiegowisko było tak wielkie, że oddziały posuwać się nie mogły; wciąż rozlegały się okrzyki. „Niech żyje Piłsudski?”. Tłum tak obiegił uwielbianego wodza, że kasztanka jego kroku stąpić nie mogła. Belinę i jego ułanów obrzucono kwiatami. Pułk stanął w szeregach na rynku, następnie zaczęło się rozkwaterowywanie. Kwatermistrze pułkowi mało mieli pracy, gdyż publiczność wprost rozchwytywała strzelców do swych mieszkań. Goszczono ich najserdeczniej, zaszczytnym było dla najuboższego przyjąć u siebie strzelca i dać mu możliwe wygody; odstępowano jedyne nieraz łóżko w mieszkaniu.

Nazajutrz pojawiły się na murach miasta odezwy zastępcy burmistrza. Miasto nasze ma zaszczyt gościć Legiony polskie — zwracał się on do mieszkańców Sącza — a ponieważ zbliżają się święta Bożego Narodzenia, korzystajmy ze sposobności, by dać im taką gwiazdkę, jakiej potrzebują. Najpiękniejszym darem będzie ciepła odzież, bielizna itd. Zaraz zawiązał się komitet pań dla zbierania darów; postanowiono urządzić choinkę świąteczną publicznie na rynku i obdarować każdego żołnierza.

Tymczasem twardy los wojny przeciął plany, gdyż po kilkudniowym wypoczynku pułk ruszył 20 grudnia do dalszej walki, ruszył z muzyką i śpiewem, żegnając życzliwe miasto, wzajem żegnany serdecznie przez całą ludność gorącymi życzeniami zwycięstwa.

S. B. P.



Mieczysław Trojanowski Ryszard



Tabory przekraczają Wieprz



Saperzy



Brygada w marszu



Wymarsz z Popowa

ŁOWCZÓWEK

Dzień wigilijny zapowiadał się dziwnie uroczyście. Sandeczanie zapragnęli smutny w tym roku ten dzień radości spędzić wraz z młodzieżą, która krwią swą też przyczyniła się do ratowania kraju od nawały kozackiej. Wieczór wigilijny zbliżał się w barwach dotąd niebywałych.

Tymczasem trzeba było wyruszyć niezwłocznie. Niemila niespodzianka wszystkich zaskoczyła. Rozżalone oczy żegnały nasze szeregi, zdążające na wschód. Szybkim marszem trzeba było stanąć nad rzeką Białą pod Łowczówkiem.

Nad zagięciem rzeki rozsiadła się góra, panująca ponad całą okolicą. Silny opad zboża pozwalał mimo zalesienia góry obejmować daleki widok aż po Tarnów. Od wschodu i południa szerokie słały się polany, objęte dwoma wąwozami, przez które płynęły potoki.

Zadaniem pułku było odzyskać stracone pozycje, które biegły północnym zboczem góry. Zapadała noc.

Nasi spoczęli na drodze. Znużenie rzuciło ludzi w śnieg; z wyciągniętymi nogami, oparci o plecaki, z odrzuconymi głowami w tył, przymknawszy oczy, wypoczywali, oddychając głęboko, jakby dla nabrania tchu na długie godziny zmagania, które ich czekały. Była cisza dookoła, słychać było jeno chrupanie przemarzłych sucharów, rwanych zgłodniałymi zębami i tu, i ówdzie dobre słowa przestrogi przed leżeniem w śniegu, zwrócone ku tym, którzy ze zdrowiem niedomagali. Mróz stopniowo przenikał zagrzone w drodze ubrania, zimną łapą zdradliwie posuwał się po grzbietach, wysysał resztki sił i morzył snem. Jakby febryczna wilgoć przenikała całe ciało. Szczęki żuły suchary, jakby nadmierną szybkością ruchów chciały odegnać ziąb. Zmęczenie stóp jakby odpływało w kolana. Przemóżna leniwość obsiadała zmęczenie ramion.

Tymczasem dwa bataliony poszły do pierwszej walki. Wkrótce gęsty trzask karabinowy wskazał, że nasi weszli w ogień. To batalion Herwina, idąc odkrytą polaną, natknął

się na silny opór, ściągając na siebie uwagę przeciwnika. Podczas zaś tego batalion trzeci w zupełnym milczeniu posuwał się w las ruchem okalającym.

Troska o tych, którzy już są w ogniu, w takich momentach dziwnie się jednoczy z myślą, że i samemu za chwilę może przyjść wyciągnąć nogi w poziomkę. Niejeden kontroluje, czy ma w porządku broń, inny opatruje zapasowy bandaż, który się zdać może sobie albo sąsiadowi; inny zjada ostatniego suchara, znajdując w jedzeniu najwyższe ukojenie i czujnymi oczami śledzi teren, przez który przechodzi, aby poznać nowe otoczenie dla tym pewniejszego spełnienia zadań, które mu losem przypaść mogą; inny znowu idzie, jakby go nic innego poruszyć nie mogło, jeno ta myśl, że za chwilę walczyć będzie ze śmiertelnym wrogiem. Taki nagły wymarsz do walki ma w sobie jakąś grozę złowróżbną, która każe w milczeniu iść nawet tym, co w ogniu zwykli dowcipkować. To niechęć utraty życia zmagą się z poczuciem konieczności spełnienia powierzonego zadania. Dopiero widok pierwszego rannego przesila wrażenie; myśl oswaja się z tym, co oczy z brutalną prawdą widzą i sprawa, dla której w bój się idzie, od razu daje tę moc zdzierzenia, którą nieledwie w części zastąpić może długa żołnierska tresura posłuszeństwa swojemu szeregowi.

Ponad garbami gór gęste granatów pociski zarysowały kontury krzywizn równie groźnych jak te, co wśród lasów rozegranych wrzawą walki wchłonęły nasze zastępy. Fala wrzawy i zmieszany szum działającej broni wszystkich gatunków podnosiły się kilkakrotnie, by nagle zapaść w niepewne, męczące milczenie, rozlane wraz z ciemną nocą. Żołnierze poszczególnych oddziałów pragnęliby przeniknąć ciemności, poza którymi kryje się zagadkowa tajemnica losu towarzyszy. Każda minuta niejasnego milczenia, zapadłego na linii boju, przewleka się w takim położeniu w męczącą udrękę. Ukojeniem przychodzi stwierdzenie obecności każdego, za którego młode życie wzięło się odpowiedzialność twardą na siebie. Zatroskane ręce w ciemności odszukują te drogie głowy i ramiona sobie powierzone, a myśl biegnie utkwiona w zadaniu żołnierskim, które dostało się do spełnienia.

Nieprzebite ciemna noc zaległa cmentarnie ciche wzgórza.

Z kolei wrzawa zaczęła się wzmacniać dookoła ubogiej zagrody wiejskiej, stojącej na zagięciu góry. Tu rozsiadł się sztab szefa Sosnkowskiego, któremu przypadła główna komenda. Ze wszystkich stron, po omacku błędząc nieraz w ciemnościach, ściągali jedni z raportami, inni po rozkazy, to znowu odprowadzający transporty jeńców. Okazało się, że oskrzydłający atak zakończył się pomyślnie. Trzy linie drutami ubezpieczonych

okopów wzięto bagnetami z półtysiącem niewolników. Dwustronnym atakiem zaskoczono tak dalece dopiero co tryumfującego wroga, że stracił nie tylko zdobyte pozycje, lecz i sztab cały. To drobny patrol siedmiu ludzi zagarnął zniemacka kierowników benderskiego pułku. Ciemności nocy ukrywały liczebną mniejszość naszych szeregów; ciemności nocy ukryły przed oczami wroga przemęczenie naszych chłopców, wycieńczonych pięciomiesięcznymi bojami; ciemności nocy ukryły wreszcie komizm położenia, kiedy drobne patrole brały setkami jeńca i nałaziły gromadami na siebie, odprowadzając wziętych. Po strasznym błocie, rozdołach i wybojach, wywracając się po rozpadlinach, wyszarpanych granatami, umorusani krwią i błotem, znużeni pracą i pragnieniem, przesyceni wilgocią mglistej nocy, zdążali, by szybkie złożyć wieści z pola walki i pójść dalej ku powierzonym sobie powinnościom.

A u komendanta gorączkowymi oczami śledzono każdą linię nakreślonego rozkazu. Martwa mapa każdemu roiła się w oczach wieloma pomysłami, które teren podpowiadał. Każdą linię uzyskanych pozycji szybko osnuwano nowymi zamysłami, które zmierzały do ich utrzymania, do ich wreszcie przesunięcia naprzód. Bo każdy krok urzeczywistniony pociąga za sobą niezłomne następstwa i zwiększa zadanie, wiążąc każdą wartość terenu z już uzyskaną, a krępując tym, co już się stało, żąda coraz to bardziej stanowczej decyzji w wiązaniu poszczególnych wyników i możliwości ku ostatecznemu atakowi, który rozstrzyga o wartości całego wysiłku.

Na drugi dzień rozwinięto szyki na najbardziej rozpiętej linii frontu, aż do zużycia rezerw do ostatniego żołnierza. Trzy dni i trzy noce bez wytchnienia i bez zmiany trwała walka na całej linii w najgorętszym ogniu. Piekło rozmaitego kalibru armatnich pocisków, świsty, przeszywające powietrze w przeróżnych kierunkach, łupanie niezmiernej ilości karabinów maszynowych bijących ekrazytowymi pociskami, które z trzaskiem łuskały gałęzie drzew wznoszących się tuż ponad okopami, wszystko to było niczym wobec wysiłku stałej walki, oko w oko. Okopy bowiem biegły o trzydzieści kroków odległości. Czujne, drapieżne wypatrywanie każdego nieogłédnego ruchu w przeciwnym okopie z obu stron powodowało wybuchy ognia, zdwojonego szybkością. Konwulsje konających, trwanie w okopie w sąsiedztwie trupów najdroższych towarzyszy; bezsenne w mrozie i głodne wytrwanie szeregu dni i nocy wobec odświeżanego, a liczebnie stale silniejszego nieprzyjaciela, wreszcie trudności z dostawą amunicji i odprowadzaniem rannych, wszystko to niepomrotnie zwiększało grozę położenia. W takich warunkach odparto szesnaście ataków na bagnety. Wzdłuż okopów co dnia roiło się od czynów świadczących o wytrawności żołnierskiej.

Spokojnie dotrzymywano placu. Gdy zabrakło amunicji, brano zdobyczną broń rosyjską i, leżąc na brzuchach pod ogniem, zapoznawano się wzajemnie z użyciem obcego systemu broni, aby wytrwale zużyć te nowe systemy. Z godnością trwano w okopie; gdy było za gorąco, zrywano się do walki na bagnety, aby potem nadal wytrzymać na powierzonej pozycji. Stępiała wrażliwość na ból i jęki otoczenia, na widok konania i przedśmiertnych pożegnań, pasowała tu na prawdziwych żołnierzach.

I ginęli tu ludzie z godnością, która już nie pozwala rozlżawiać się nad ich grobami. Kędzierski, Bojarski, Urzupis-Zagórski skończyli tu śmiercią żołnierzy, którzy do ostatniej chwili przytomności nie zatroskali się o życie własne i, konając, jeszcze dawali swoim podkomendnym ostatnie rozkazy i rady. Ginęli inni z młodzieńczą brawurą, jakby to był moment spełnienia najtajniejszych pragnień, a inni ginęli bez jęku, cicho, bez słowa pożegnania, dziwnie skuleni w sobie, jakby tym skupieniem chcieli zakłąć pozostałych do zjednoczenia wszystkich narodu wysiłków, które jedynie odkupić mogą wartość ich młodego życia. Ginęli inni, jakby zaskoczeni w pędzie wiary w swoje własne życie i wartości jego, a ostatnim gestem rzucając w dal tę pewność, że poprzez ich skony skupi się odwaga narodu, wola czynu i życia silniejszego, aniżeli najtęższa śmierć prawowitych jego synów. Ginęli inni z żalem w oczach do losu, który nie dał im spojrzeć w rozbudzony naród i wejść jeszcze w jego przyszłą pracę. Ginęli wreszcie śmiercią tak niezbadaną, że nic już tajemnicy ich młodego życia nie rozewrze.

Stu ich tak zginęło. We wspólne mogiły, warstwami jednych na drugich, słomą prześcieliwszy, wrzucono ich pokotem. Cześć ich zacej pamięci.

Wieczorem na całej linii rozbrzmiała tradycyjna pieśń: był to bowiem dzień wigilijny. Na odgłos pieśni wzruszyły się stare, wierzące serca rosyjskiego żołnierza: zaprzestano ognia. Uroczysty hymn „Bóg się rodzi” płynął od gór na ironię śmiertelnemu żniwu. Z dala migwały płaczkliwie krocie świateł Tarnowa; mrugały te światła jakby od serc mieszkańców chciały tym chłopcom przesłać zaproszenie, wdzięczne, serdeczne im pozdrowienie. Jak „Boże drzewko”, obiecana radość dzieciom, tak światła te wgryzały się tęsknie dzieciom Tarnowa, które w szeregach naszych licznie i dzielnie o rodzinne gniazdo bój staczały.

A potem granaty waliły bez przerwy, roznosząc wszędzie straszne spustoszenie. Nie raz trafiony okop momentalnie zamieniał się w obronny bastion, w którym wyzyskano jako wał ochronny wybuchem zwałoną ziemię. Tu i tam padali ranni, tu i tam leżeli jeno ogłuszeni albo odrzuceni. Od jednego pocisku wyleciało w powietrze rozdartych jak snopy trzech serdecznych z ław szkolnych kolegów.

Nie lepiej było poza linią. Środkowy punkt sztabu, jak i miejsce opatrunkowe były przez cały czas pod silnym ogniem tak dalece, że rozkazy nieraz nie dochodziły z powodu ubicia posłańców. Zapach krwi i trupy szereg już dni leżące, przesycaly las cały odrębnym zaduchem, nieodłącznym towarzyszem walki. Śmierć i rany wszędzie tu dosięgnąć mogły. Miejsca dla ukrycia koni i jaszczków często też musiano zmieniać. Nieubłagany trud dniem i nocą jednakowo gnębił ludzi i zwierzęta. Kotłowało [się] na całej górze. Tak przyszedł dzień Bożego Narodzenia.

Przez cztery dni walcząc z doborowym żołnierzem, przysłanym umyślnie dla przełamania tego frontu, utrzymano pozycję w warunkach ciężkich, kiedy to znużonego żołnierza nie można było złuzować świeżym, kiedy każda dostawa najmniejszej stawy czy amunicji połączona była z wielkimi trudnościami i niebezpieczeństwem, kiedy komunikacja wewnątrz walczących szeregów była prawie że udaremniona.

Dobry wypadek zrzucił, że odcinki najbardziej zagrożonego frontu spoczywały w rękach dwóch wytrawnych praktyków: kapitana Berbeckiego, który za sobą miał ciężkie doświadczenie z wojny japońsko-rosyjskiej i kapitana Rylskiego, który za sobą miał boje Boerów z Anglikami. Dzięki temu pułk wyszedł w całości w momencie krytycznym, kiedy z powodów od siebie niezależnych znalazł się w swej skutecznej walce na froncie odciętym i osaczonym od prawego boku. Rozkazy do odciętych już dojść nie mogły.

Kiedy lewoskrzydłowe bataliony zdołały ująć z osaczenia, na prawym skrzydle z trzech stron zaatakowany Rylski potrafił natychmiast zatoczyć wielki łuk, stopniowo zwężający się w daleki klin, przez którego szyję kolejno odpłynęły kompanie, cofając się właśnie w kierunku nieprzyjaciela, odcinającego im odwrót. W ten sposób do ostatniej chwili wycofywane kompanie współdziałały z pozostającymi, szachując równocześnie nieprzyjacielskie wojska, które usiłowały rozerwać pozostałe na pozycji nasze bataliony. Tak odpłynęli wszyscy. Pozostał się jeno Mikołaj Szyszłowski. Kompania jego szybko zmalała do liczby siedemnastu, gdy resztę odprawił celem zebrania rannych spośród innych kompanii. Z tą małą garścią istotnie dzielnych żołnierzy z determinacją ostateczności wytrwał wobec ogólnego potopu, aby się wreszcie podstępem bez strat wymknąć z osaczenia.

Równocześnie w najcięższych warunkach wycofać się musiał batalion kapitana Berbeckiego.

Kiedy ponad wszelką wątpliwość stwierdzono, że batalion jest odcięty, zostało cofnąć się do lasu. Zdziwiającym tu jeno było, że nasi żołnierze i w takim nawet położeniu

zachowali dość zimnej krwi, aby stwierdzić, czy wszyscy są już zgromadzeni, zanim ustąpiono z pola. Marsz lasem był tym uciążliwszy, że najmniejszy nieład mógł udaremnić wymknięcie się spośród pierścienia nieprzyjacielskiego, który już, już miał się zamknąć. Mgła była pomocą, gdy przez szyję sto kilkadziesiąt metrów szeroką, odpierając wśród ostatecznych wysiłków ataki na bagnety, z wytężeniem wszystkich środków zabieglowości i współdziałania poszczególnych oddziałów, przedarto się poprzez wąwóz. Bezwzględna odwaga komendanta, karna ofiarność żołnierzy, poszanowanie własnej godności, przede wszystkim umiłowanie tej idei żołnierskiej, której wypiełgnowanie głęboko w sercu legło naszym chłopcom, prowadziły te ostatnie szeregi żołnierzy, którzy nawet w cofaniu się stwierdzali słuszość zaufania w nich położonego.

Bo, mimo wszystkie wady narodowe, tkwi w tych młodych sercach prawdziwa dzielność, która każe wierzyć w przyszłość lepszą, prawość bojowniczą, posłuszeństwo w obliczu nie rozkazu, jak raczej wspólnej idei i zdolności umierania aż do zaprzęgnięcia wobec osobistego życia.

Ci ludzie naprawdę chcą zwyciężyć.

Ci ludzie wiedzą, że jeno poprzez krew idzie odkupienie. Dorośli oni, aby ich Wódz mógł do nich mówić słowem twardym: „Z pięciu tysięcy ludzi, którzy byli w moim oddziale, tysiąc padło lub zostało rannych w bojach, świadcząc przed wszystkimi, że za honor należenia do naszego żołnierskiego koła obficie krwią płacić trzeba. Cześć im wszystkim i chwała, a pamięć o nich niech zawsze bliską będzie naszemu sercu! My zaś bądźmy gotowi do dalszych walk i bojów, z których, jestem pewien, potrafimy wyjść może uszczupleni w swym gronie, lecz zawsze z honorem.

„Zyskaliście nową sławę i nowy liść wawrzynu wplećliście do wieńca sławy polskiego żołnierza. W imieniu sławy, której służymy, dziękuję wam wszystkim za tę pracę. Jestem dumny, towarzysze broni, że Wami przywodzę, jestem dumny z kłopotu, że gdy mam w rozkazie dziennym wymienić najbardziej godnych chwały, szukać muszę czegoś nadzwyczajnego, by wśród ogółu dzielnych, mężnych znaleźć czyny, które nie będą dla nich powszednimi”.

W Piotrkowie, 5 maja 1915.

Adam Dobrodziński



Tadeusz Wyrwa Furgalski



Karabiny maszynowe



W rezerwie



Punkt opatrunkowy



Kuchnia polowa



Tabory



Poczta polowa

WYPRAWA SANDOMIERSKA

Nad falistym terenem pińczowskiej ziemi rozsiadła się góra Skowronno, pod którą wśród szerokich bagnisk leniwie płynie głęboka Nida. Na rzece sterczą tu resztki mostu, wyzyskiwane przez patrole, zapuszczające się na drugą stronę rzeki. Między Imielną a Pawłowicami rzucone były nasze okopy tuż nad samymi bagniskami.

Okropne błota i marcowa szaruga śniegu z deszczem początkowo czyniły tu pobyt nieznosnym, zwłaszcza, że walk prawie nie było. Armaty sobie jeno stale rozmawiały, a ciągle patrole miesiły błoto rędzinowej ziemi.

Nadeszły wreszcie ostre mrozy. Trzeba było podwoić czujność, bo bagna i rzekę lodem ścięło. Za dnia wrzała robota pod ziemią, gdzie poszerzano ziemianki, przesuwano częściowo okopy naprzód, by skrócić naszą linię obronną; po nocach zaś drutowano, rzucono zasieki, bito „hiszpańskie konie”, zwiększając obronność pozycji. Patrole, korzystając z zamrożniętej rzeki, często robiły wyprawy pod rosyjskie okopy i bywało, że niejeden musiał się na brzuchu wyczołgiwać wśród warczących kul, odbitych od lodu. Szczęście jednak z nami chodziło i strat w szeregach nie było. Rozzuchwaliło to chłopców; poczęli lekceważyć wroga i wylazić na odkryte miejsca. Dzięki temu zginął jeden niepotrzebnie.

Nagle przyszedł po mroźnym marcu pogodny kwiecień. Siedzenie w okopach poczęło się mocno dłużyć. Z nudów zaczęto uprawiać rzeźbę, malarstwo i poezję, z nudów zaczęto bębnić w karty. Starszyzna chodziła jakby struta: bo to trawiło się czas bez wojskowej satysfakcji, odciętym od jakiegokolwiek akcji wśród narodu, będąc przygwożdżonym do tych kilku wynędzniałych wiosek. Posępność zaglądała w serca, a tęsknota roiła rozmaite wyprawy i plany na dni, które przyjść musiały. Dogryzło to już wszystkim tak gruntownie, że wszystkich ogarnęła furia futbolowa. Potworzyły się drużyny i wzdłuż całej linii zaczęto wierzcąć nogami.

Nadeszły święta wielkanocne. Takie drugie pewno już nie przyjdą. Nadzieje na losy wojny były najlepsze; robiono gorączkowo przygotowania do przeprawy, ciosano mosty,

zwożono pontony, zarządzono pogotowie do wymarszu. Przyszła godzina rezurekcji. Pod mierzwińskim kościołem stanęły nasze szeregi. U Grobu Pańskiego stanęli polscy żołnierze tak dawno, dawno już w godzinie takiej niewidziani. Szczera, wzruszona pieśń potoczyła się po dolinie razem z kadzidłami; uderzyły salwy. Nasz lud z naszym żołnierzem pomodlili się wspólnie. Dobry to był wieczór. Wesole były to święta. Batalion batalionowi, miejscowa ludność nam, a my tej ludności składaliśmy wizyty. Świętowano za wszystkie czasy. Sywały się pieśni doraźnie komponowane; zapijano różne zjadliwości nowe i minione. Kwitnęły życzenia, którym trzeba będzie setek lat do urzeczywistnienia. Radość tryskała z ludzi.

Wiosna biegła szybko. Razem z bujnością natury podnosiła się ochoczość w szeregach. Co kilka dni robiono jakąś zawadiacką wyprawę. Raz w biały dzień zabrano broń z okopów rosyjskich. Nocą przechodzono przez szczątki mostu zwalonego i poza rzeką łowiono posterunki rosyjskie. Zdobywano w ten sposób cenne wiadomości. Łapano na arkan przez rzekę żołnierzy lub zaimitowanymi [pozorowanymi] atakami wywoływano straszliwe kanonady. Moc amunicji wyrzucano wówczas na nas bezskutecznie i to właśnie miało się na celu. I takie kanonady to tu, to tam zrywały się prawie codziennie. A kiedy ucichały salwy, po ziemi smagały reflektory, czujnie obmacywały każdy dogodniejszy dostęp ku rzece, śledziły każdy krok przygotowawczy.

Noc 3 maja obchodzono uroczystości. Kompania Wojsznara poszła za rzekę. Wyprawa ryzykowna, na której łatwo można było być odciętym. Poszli po śmierć lub zwycięstwo. W ciszy przeszli przez rzekę. Biegiem dopadnięto do grupy wysuniętych okopów rosyjskich. Tu zaskoczonych w części wykluto, w części (62) wzięto żywcem za łby i nogi, powyciągawszy z ziemianek. Niewielu jeno myślało o oporze. Najście spadło na nich tak nieoczekiwanie, szybkość ruchów była tak nie do uchwycenia, sprawność ataku tak niezawodna, że bez żadnej straty z naszej strony i bez wystrzału atak we dwadzieścia minut przeprowadzono. Zabrano broń i, wysadziwszy w powietrze okopy, cofnięto się za rzekę.

Wybuchy przy wysadzeniu szańców wywołały groźną kanonadę. Przy takiej orkiestrze przeprawiali się nasi z powrotem przez rzekę.

Wreszcie nadeszła wiadomość o przełamaniu frontu rosyjskiego nad Dunajcem. Ruch zrobił się wielki.

Wszyscy gotowali się do ruszenia naprzód. Z niecierpliwością wyczekiwano rozkazu ataku. Zauważono, że w okopach rosyjskich pojawiły się kawaleryjskie spodnie, co wskazywało, że piechota już ustąpić musiała. Jedenastego maja wysłano patrol. Śledzono jego kroki z bijącymi

sercami, gdy samotnie zbliżał się do rosyjskich okopów. Z wrażeniem bezbrzeżnej ulgi stwierdzono, że nasi chłopcy, przez nikogo nie zatrzymani, posuwają się szybko wzdłuż opuszczonych pozycji nieprzyjacielskich. To było jakby rozkazem do wymarszu. Batalion za batalionem ruszyły od razu za rzekę, poprzedzane przez kawalerię naszą, która już dnia następnego na drugiej linii rezerwowych okopów starła się z tylnymi strażami ustępujących wojsk.

Z dniem 11 maja skończyła się defensywna część wyprawy. Zwycięski marsz od Pińczowa po Klimontów, uwarunkowany tryumfem armii sprzymierzonych w Galicji, miał przed sobą zadanie sforsowania szosy Opatów — Sandomierz, a następnie kolei sandomiersko-ostrowieckiej.

Warunki tych walk nie cieszyły serca żołnierskiego. Należały one do najboleśniejszych, bo niezawodnie przekreślających wszelkie rezultaty najbardziej ofiarnych wysiłków. Brygada, która weszła w bój jako rezerwa dywizyjna na poszczególnych odcinkach zagrożonego frontu, nie mogąc się opierać wzajemnie o siebie, poniosła bardzo dotkliwe straty.

Skutecznie odbyły się cztery wielkie ataki. Przyjawszy rzekę Pokrzywiankę na odcinku Konary jako podstawę operacyjną, ataki naszej brygady szły wzdłuż bocznego Potoku Kaczyckiego.

16 maja dwiema kolumnami ruszono z Konar na Swojków i Grabinę. Naprzeciwko stała 83 Dywizja, w skład której wchodziły pułki: obojański, złotoustowski, kozłucki i orski.

Pierwszy nasz pułk, wyzyskując dolinę potoku, poprzedzony straszliwym ogniem artyleryjskim, podstąpił tuż pod okopy Grabiny. Tymczasem pułk drugi poprzez Las Płaczkowski, na wzniesieniach Beradzia pod silnym ogniem, atakiem flankowym zdobył Górę Małyńską, biorąc łupem wielu jeńców i karabinów maszynowych dwa. Radosny widok rosyjskich żołnierzy, wlokących w niewolę własne maszyny i objuczonych kupami broni, przed chwilą tak groźnej, dodawał tyle otuchy, że mimo wyczerpania, nastrój podniosły w szeregach umacniał do najcięższych wysiłków. Straszliwe łuny pożarów, okropna groza zniszczenia zbóż stratowanych i zszarpanej ziemi, i niepewność zapadającej nocy towarzyszyły szybkim zabiegom obsadzenia zdobytej góry, aby jak najszybciej otworzyć z niej gwałtowny ogień. W ten sposób z flanki osłaniano brawurowy atak na Swojków. Noc już głęboka zapadła, gdy granaty rosyjskie na wieś padające wszystkim obwieścili, że już tam nie rosyjskie wojska stanęły. Do rana dnia następnego pozycji wytrwano. Na szosę sandomierską wysunęły się czujne patrole. Dopiero ruchy taktyczne sąsiedniej grupy spowodowały przesunięcie pozycji na Wzgórze Kaczyckie. Wyjechały już kuchnie na front; zjedzono obiad pod ogniem szrapneli i gotowano się do dalszego ataku. Ale z przy-

czyn nieprzewidywanych musiał na rozkaz nastąpić odwrót. Linie odwrotu znaczone szeregiem okopów. Jedna kompania drugiej z pomocą przychodziła, chroniąc odwrót. Jedni troskali się o innych, nie myśląc o sobie i tak wszyscy troską byli otoczeni. Ustąpiono wreszcie w Placzkowicki Las, następnie przez dwa dni wytrzymało napór na linii Pokrzywianki.

Drugi walny czterodniowy atak na Kozinek rozpoczął się 19 maja. Gdy naszym batalionom przypadło forsować dwa wzgórza: Kozinieckie i Zakrzowskie, las między nimi położony i lewa flanką przypadła pułkowi armii. Losy bitwy zrzuciły, że i flanką i centrum były mocno zagrożone, gdy wzgórza wskazane były już przez nasze bataliony opanowane. Sytuację ratował (do ostatniego pocisku) Śniadowski, komendant naszej artylerii, który samowolnie wystąpił od Pokrzywianki z garścią przez siebie skupionej piechoty, zanim wzgórze zakrzowskie nie zostało oczyszczone, a Śmigły mógł rzucić się na opuszczone centrum, by uchronić od zupełnej zagłady piąty batalion, który trzymał się rozpaczliwie na linii Kozinka. Tu legli Herwin i Szyszłowski, których nazwiska były synonimami prawości żołnierskiej. Nastąpiły trzy dni i trzy noce ciężkich zmagania o Las Koziniecki. Przewaga liczebna przeciwnika była nadmiernie znaczna. Komendant nasz, oceniając te boje, zaświadczył, że trzeci batalion w najcięższych warunkach zachował się po bohatersku, znacząc obficie każdy krok swoją krwią własną i wroga, wyrażając mu rozkazem swym „głębką wdzięczność w imieniu całego oddziału za dowód, że w najcięższych warunkach żołnierz polski, jeśli nie może wygrać boju, to honoru swego bronić potrafi”. Tu, na najbardziej zagrożonym terenie, w ciężkim boju i chaosie, jako jedyna zwarta grupa na szerokim froncie, placu dotrzymano. Wreszcie przyszli honwedzi z pomocą. Las wzięto. Moc niewolnika zabrano. Po tych ofiarnych wysiłkach, musiano wedle rozkazu ponownie dla wyrównania frontu oprzeć się o rzekę Pokrzywiankę.

Po dwu dniach oporu, pod Konarami rzucono się na Przepiórów i Kamieniec. Smutne to były dni. Po przejściu rzeki trzeba było zdobyć Górę Przepiórkowską, na szczycie której, oparty o kamienny dwór, zajął pozycję 331 Pułk Grenadierów. Na flance Las Placzkowicki zajęli honwedzi.

Uciążliwymi skokami wśród fal zboża przesuwano się naprzód, nie wiedząc, co spotkać ich może poza każdym łanem. Bujne zagony rodzimej ziemi kryły w sobie niewidziane zdrady. Urągowiskiem tu była bujność pól i radość barw pełnego lata, urągowiskiem żywiołowy śpiew skowronków, które przywykły już do grzmotu armat, świstu kul i strasznej dokoła pożogi. Jedne zastępy ginęły przed drugimi, wśród zarosłych garbów wzgórze, nad którymi rozszalały się szrapnelowe rakiety. A przecież wzięto to wzgórze, które należałoby forsować jakimś karnym pułkiem, zrekrutowanym z narodowej bierności.

Sforsowano Kamieniec, sforsowano Górę Przepiórkowską, aby okopać się o 200 kroków przed rosyjską pozycją. Położenie było ciężkie, gdyż z powodu warunków terenowych od Grabowa dostano się w silny ogień flankowy. W najwyższym napięciu nerwowym, brocząc krwią w całonocnej walce, musiano się gotować do ostatecznej rozprawy. Walki te dały znaczną ilość jeńca. Ze świtem jednak wśród najboleśniejszych strat trzeba się było przystosować do ogólnej sytuacji. Pod krzyżowym ogniem na rozkaz musiano opuścić ciężko zdobyte pozycję. Zwalono się więc w dolinę rzeki, by znowu utrzymać linię Pokrzywianki.

Nazajutrz, 25 maja, gdy wszystkim ze znużenia ręce opadały, ruszono do ponownego ataku na Kamieniec celem osłony prawego skrzydła sąsiedniego pułku, idącego na Kopic. Poprzez bruzdy granatami oranej ziemi wzięto las kamieniecki, który dotychczas służył jako punkt zborny dla tych spośród Rosjan, którzy pragnęli przejść do niewoli. Przez szereg dni zbierały się tu gromady, uzbrojone w białe chusteczki z krzyżem pośrodku, zaopatrzonym napisem: „tym znakiem zwyciężysz”. To czyjeś serce czule kazało żołnierzom przysyłać takie bojowe upominki. Teraz, gdy straszny ogień wszelkie życie wygnał z lasu szarpanego pociskiem, szły jeno wypróbowane nasze zastępy. Przyszło do walki; wzięto wielu jeńców i broni.

I wszystkie wyczerpały siły, aby znowu po raz czwarty stanąć wedle rozkazu do walki pozycyjnej na linii Pokrzywianki. Cokolwiek bądź front utrzymano.

Równocześnie część brygady, detaszowana do sąsiedniej dywizji, po zdobyciu Wszechowa wytrzymała gwałtowne ataki, które zjednały jej najwyższe uznanie przełożonych, aby wreszcie szturmem na Baranówek zagrozić tyłom nieprzyjacielskiej armii, opartej o Iwaniska. Każdy z tych ataków konarskich bojów dał liczne zdobycze i łącznie jeńców półtora tysiąca. Po trzech tygodniach upartej walki pozycyjnej ruszono naprzód.

Poprzedzając brygadę, szła nasza kawaleria trzema szlakami, aby się zejść razem pod Lisów, dokąd ich sprowadziły odgłosy walki jednego z naszych plutonów. Tu 23 czerwca, zostawiwszy w ukryciu konie, poszli nasi w tyraliery. Brygada 15 Kawaleryjskiej Dywizji, zaatakowana z trzech stron, oczyściła wieś Lisów, aby pod gorączkowym ogniem cofnąć się w kierunku na Bidziny.

Zarządzono pościg niezwłoczny.

Po drobnej utarczce pod Stodolami, rozwinąć trzeba było wszystkie siły do ciężkich zmagania między Wojciechowicami a Kunicami z grenadierską piechotą rosyjską. Na prawym skrzydle gwałtowną szarżą zdobyto Kunice. Ataki na Bidziny jeszcze dnia

tego przeprowadzone, trzeba było cofnąć wobec ogromnej przewagi. Część mocno już w ataku zaawansowanych salwowano flankową szarżą. Tu kawaleria ławą z ogromną szybkością, zmieniając kilkakrotnie kierunek biegu, odciągnęła na siebie uwagę, grożąc w ten sposób odcinkowi Kunic. Pod ich to osłoną, choć z bolesnymi stratami, wycofano nasze tyraliery. Jeny odcięty nasz patrol pod Wojciechowicami został wybity wśród zażartej walki i beznadziejnego położenia. Pomocy tu podać nie było można, skoro atak tam skierowany odrzuciła przeważająca siła piechoty, dobrze okopanej.

Na drugi dzień pierwszy pułk wspólnie z kawalerią, pod rozkazami podpułkownika Śmigłego, uderzył na okopy pod Bidzinami. Po krótkiej, zaciętej walce okopy były wzięte, nieprzyjacieli zaś odrzucono na Ożarów.

Pod Ożarowem rozstrzygnęła się ostateczna walka o tor kolejowy.

Tu atak był przeprowadzony z taką decyzją i skutkiem, że nie tylko wzięto tor kolejowy, ale i następną okopaną pozycję osiągnęła nasza kawaleria, biorąc żywcem wielu jeńców. Szybko się rozegrała walka pod Wyszniotowem. Gdy równocześnie drugi pułk brygady, prowadzony przez majora Berbeckiego, od lewej flanki wdarł się aż za Strużę, wzięcie Ożarowa było tym samym przesądzone. Wobec tego pozycję rosyjską przerzuciono na Karsy, aby po krótkim oporze pod nader silnie skoncentrowanym ogniem zostawić Legionowi wolną drogę na Wisłę.

Po ożarowskich krwawych bojach podstępiono pod Tarłów. Tu przyszło do straszliwej rzezi. Przy forsowaniu trzypiętrowych okopów, silnymi zasiekami umocnionych, poniesiono straty ogromne. Nadludzkie wysiłki złamane zostały na wałach spiętrzonych przeszkód. Artyleryjski ogień z małą tu jeno mógł przyjść pomocą. Zdawało się, że bez ciężkich haubic linii tu nie będzie można przesunąć naprzód. Tymczasem nocą jeden z naszych batalionów przekradł się między zasieki i z flanki zaskoczył nieprzyjacielskie pozycje; wszystkimi siłami brygada ruszyła do ataku. Świetne zwycięstwo, uwieńczone wielką zdobyczą, okupiło straty bolesne.

Tak wylamano sobie dostęp do Wisły. Tu pod Józefowem znowu przyszło do krwawych zmagania o przyczółek mostowy. Rosjanie stawiali ostatni opór, zasłaniając przeprawę na rzece. Wreszcie spokojne zwierciadło wód rodzinnej rzeki odbiło w sobie znów przerzedzone, ale zwycięskie szeregi.

Tak ziemia lubelska stanęła otworem.

Adam Dobrodziński



Wacław Sieroszeński



Legioniści w okopach, mal. S. Gromski



Naczelnik Józef Piłsudski w Głównej Kwaterze, mal. A. Setkiewicz



Żegnaj – niedługo wrócę znów, mal. A. Setkiewicz



Ojczy nasz..., mal. A. Setkiewicz



Postój



W okopach

JAZDA BRYGADY PIŁSUDSKIEGO

*W*ytrwale, niczym niewstrzymane i niezłomne wysiłki Piłsudskiego i jego towarzyszy, wykuwających w biernym i zniewieściałym społeczeństwie naszym nowe drogi wojskowej woli i mocy, dały w ciągu ośmiu lat pewne owoce — w chwili wybuchu wojny mieliśmy piechotę. Wprawdzie było jej mało, wprawdzie była źle uzbrojona, lichy umundurowana i brakowało jej amunicji, ale bądź co bądź istniała. O jeździe zaś ubogie i niepewne swego bytu organizacje strzeleckie nie śmiały nawet marzyć. W tym kierunku nic nie zrobiono. Oddziały konne przy „Sokołach” były słusznie, jak się okazało, uważane za związki raczej sportowe niż wojskowe; z czterech istniejących tylko jeden, najmniejszy, pod dowództwem Marcelego Śniadowskiego zgłosił już 30 lipca 1914 roku swoje przystąpienie do połączonych organizacji strzeleckich i poddał się pod komendę Józefa Piłsudskiego. 2 sierpnia oddziałek ten udał się ze Lwowa do Krakowa pociągiem, oddawszy rządowi austriackiemu swe konie, w zamian których obiecano mu dostarczyć innych na miejscu. Zabrał z sobą jedynie rynsztunek i broń. Okazało się wszakże, że w Krakowie koni nie ma i będą nieprędko. Wobec tego 6 sierpnia, gdy I kadrowa piechoty wychodziła do Królestwa, dwunastu ludzi Śniadowskiego wyjechało furkami do Szreniawy dla zaopatrzenia się w konie i dla organizowania się od nowa.

Jednocześnie prawie powstaje zawiązek kawalerii. Władysław Belina-Prażmowski, wysłany 2 sierpnia z 6 uzbrojonymi strzelcami w stronę Jędrzejowa, aby przeszkodzić przeprowadzeniu przez Moskali tam mobilizacji, nie tylko dokonał tego, lecz powodowany instynktem wrodzonego kawalerzysty i marząc z dawien dawna o wkroczeniu jazdy polskiej, dostał po drodze 5 koni i siedem siodel dla swoich ludzi, którzy stali się pierwszymi kawalerzystami polskimi na linii bojowej, gdyż już 6 sierpnia tworzyli konną szpicę dla wkraczającej w granice Królestwa piechoty⁷. Idzie Belina o parę kilometrów przed

⁷ Oto ich nazwiska: Władysław Belina-Prażmowski, Janusz Gluchowski, Stanisław Grzmot-Skotnicki, Antoni Zdzisław Jabłoński, Stefan Hanka-Kulesza, Ludwik Kmicic-Skrzyński, Stefan Dudzieniec-Krak.

kompanią kadrową, zamienia z Moskalami pierwsze strzały pod Słomnikami, zajmuje miasto w imieniu Rządu Narodowego i tegoż jeszcze dnia patroluje w kierunku Miechowa.

Wciąż wyprzedzając piechotę, zajmuje Belina ze swym oddziałkiem 7 sierpnia Miechów, a 9 sierpnia Jędrzejów. Tam oddziałek wzrósł już do 15 ludzi. Z tymi ludźmi Belina udaje się do Kielc w towarzystwie dwóch komisarzy wojskowych — Bernera i Litwinowicza. O 11.00 rano oddziałek stanął pod pałacem gubernatorskim i zajął miasto w imieniu również Rządu Narodowego. Przed południem utarczka pod miastem między Czarnowem i Szydłówkiem oraz patrolowanie dookoła miasta, a po południu bitwa w mieście z usiłującymi zdobyć miasto kozakami i dragonami. W nocy na pozycję pod Czarnówkiem przybywa oddział (ok. 30 koni) dawnych sokołów konnych lwowskich pod komendą Śniadowskiego, obecnie kapitana artylerii, komendanta V bat[alionu] Legionów.

Odtąd oba oddziałki pełnią służbę nieustającą przy piechocie, wywiadowczą i ordynansową. Formalne połączenie następuje dopiero w czasie powtórnego zajęcia Kielc przez strzelców. Połączony oddział wynosił 79 ludzi i 92 konie zorganizowanych w 4 plutony. Dowództwo objął Wł. Belina-Prażmowski, zastępcą jego został Marceł Śniadowski, kom[endantem] I plut[onu] Janusz Głuchowski; kom[endantem] II plut[onu] Maryusz Zaruski; kom[endantem] III plut[onu] Jerzy Sosnowski; kom[endantem] IV plut[onu] Gustaw Orlicz-Dreszer. Adiutantem był Stanisław Grzmot-Skotnicki. Podoficerowie I plut[onu]: Jerzy Pytlewski, Antoni Jabłoński, Andrzej Strug-Galecki, Bolesław Wieniawa-Długoszowski; podof. II plut[onu] Jan Lewandowski, Jan Wysoki-Wojtkiewicz, Tadeusz Bieńkowski, Tadeusz Bernatowicz; podof. III plut[onu] Skarga Tadeusz, Zygmunt Putiatycki, Karol Pietruski; podof. IV plut[onu] Roman Machnicki, Stefan Dudzienic-Krak, Mieczysław Witeź-Karski, Henryk Orłęcki-Swiderski; Zygmunt Bończa-Karwacki był wachmistrzem szwadronu; weterynarzem Wacław Skulski; lekarzem Ksawery Maszadro. Żadnych taborów w Kielcach jazda nie miała, kancelarię prowadził częścią sam komendant Belina, po części adiutant jego S[tanisław] Skotnicki. Służba jazdy w czasie pobytu w Kielcach była uciążliwa i odpowiedzialna; nieustanne i dalekie podjazdy aż po Paradyż pod Sulejowem, do Żarnowa, do Końskiego, Suchedniowa, Skarżyska, Wąchocka, oraz innych miejscowości w znacznym promieniu. Ciągłe utarczki z Rosjanami w celu spędzenia ich z jak największej polaci kraju. Zadanie to powiodło się w znacznej mierze. Ogólna sytuacja bojowa i cofanie się wojsk sprzymierzonych austriacko-niemieckich zmusiły nas jednak do opuszczenia Kielc. Jazda osłaniała odwrót, patrolując jednocześnie wciąż po bokach i jedna z ostatnich przeszła most na Wiśle pod Szczucinem. W Szczucinie, w czasie

(30 IX) dostaje konnica nasza od Austriaków 125 kompletów siodeł i tyleż kozuchów dla ludzi. Pod Jagodnikami, przebywszy most na Wiśle, dąży przez Konice — Mosty pod Wiślicę. Tam otrzymuje Belina od podp[pulkownika] Sosnkowskiego rozkaz wysunięcia się na czoło wojsk austriackich i przeprowadzenia wywiadów na Sandomierz, aż do rz. Kamiennej w Ożarowskim. Jednego dnia forsownym, 100-kilometrowym marszem Belina wyrzuca swój oddział poza linię wojsk austriackich, wchodzi w czucie z nieprzyjacielem, rozbija w Ruszcy patrol huzarów, bierze pierwszym atakiem Koprzywnicę i na drugi dzień rano staje pod Samborcem o parę kilometrów od Sandomierza. Samborzec był broniony przez okopy i artylerię, wobec tego Belina dopiero na drugi dzień wraz z piechotą austriacką przechodzi przez wieś dalej i dociera o kilometr od Sandomierza. Z zajętej pozycji widzi wyraźnie ruchy Moskali w okopach, na moście i, ponieważ zna te okolice wybornie, daje cenne, dokładne wskazówki co do rozlokowania wojsk, broniących Sandomierza. Z pod Sandomierza udaje się z oddziałem do swojej wsi Różki, lecz bawi tam krótko, gdyż ma rozkaz patrolowania nad Kamienną, gdzie ukazali się już Prusacy.

9 października Belina z oddziałem przybywa do Jakubowic Błotnistych, gdzie wraz z pułkiem wypoczywa dni parę. W tym czasie przychodzi rozkaz od A[rmijnego] K[orpusu], aby nasza jazda udała się do Kielc na pomoc wojskom niemieckim. W Kielcach dostaje Belina polecenie już od władz niemieckich, aby rozpędziła, względnie wzięła do niewoli zbłąkane koło Szczecna (Chmielniki) oddziały kawalerii rosyjskiej. Po dwóch dniach wraca do Kielc z wyprawy i natychmiast przez Mniów, Radoszyce, Przedbórz, Piotrków ciągnie do lasów Spalskich z podobnym zleceniem. Ale w Piotrkowie następuje zmiana rozkazu i jazdę naszą przez Łódź⁸ posyłają do Łowicza, gdzie dostaje się pod komendę 40 K[awalerijskiej] B[rygady] (Saskiej). Z nią idąc wciąż w ariergardzie i w nieustannych potyczkach przez Piątek, Modlną, Sokolniki, Ozorków, dostaje się do Aleksandrowa, skąd Belina zmuszony był poprowadzić swój oddział do Częstochowy, tzw. pasem neutralnym, między dwiema armiami wojującymi, gdzie przybył szczęśliwie 30 października. W Częstochowie przyłączył do siebie sformowane tam dwa plutony Wandy oraz Zbigniewa Lewińskiego i ruszył dalej ku Wodzisławowi na połączenie z pułkiem Piłsudskiego. Razem już z pułkiem maszeruje przez Wolbrom ku Krzywopłotom. Stamtąd bierze udział w słynnym przemarszu Piłsudskiego przez miejscowości, zajęte już przez Moskali, do Krakowa. Rola jazdy w tej wyprawie była niezmiernie doniosła — rola czulków do wymacywania

⁸ W Łodzi przyłącza się do szwadronu VI pluton, zorganizowany tam przez wysłanego naprzód Orlicza, ale nie ma nic prócz koni i ludzi; siodeł wszystkiego 4; broni zupełnie mało.

nieprzyjaciela i szukania wśród nich bezpiecznej drogi. Niektóre z tych oddziałków szły na pewną śmierć, wiedziały o tym idąc i uniknęły zagłady, dzięki jedynie przypadkowi. Szczególniej wsławił się wtedy Gustaw Dreszer, który odcięty od pułku nie tylko przyprowadził swój oddział w całości do Krakowa, lecz wziął nawet po drodze jeńców, wyrwał, że tak powiem, „zęb z roztwartej paszczy tygrysa”.

W Krakowie, w słynnych „Oleandrach”, gdzie stała konnica, rozpoczął Belina reorganizację swego oddziału składającego się z 7 plutonów mających razem z górą 200 ludzi. Utworzył dwa czteroplutonowe szwadrony, połączone w jeden dywizjon. Komendantem I szwadronu został Gustaw Orlicz-Dreszer; komend[antem] II szw[adronu] – Janusz Głuchowski. 14 listopada kawaleria wraz z pułkiem wyrusza do Suche; 15 jest w Zawoi, gdzie wypoczywa do 20 listopada. Z Zawoi kawaleria nasza wysłana zostaje do Jordanova, aby wykryć, „kto na lewym skrzydle operującej tu armii austriackiej robi zamieszanie”. Była to skombinowana dywizja generała Dragomirowa. Też nocy nasza piechota wzięła w Chyżówkach do niewoli wyborowy szwadron z rotmistrzem na czele, 86 koni i 3 oficerów. Dwóch jeszcze oficerów nazajutrz schwytali jazda, która w głównym boju udziału nie brała. Z Chyżówek patrole jazdy poszły w kierunku Nowego Sącza i dotarły do Słopnic.

W czasie działań na Podkarpaciu kawaleria osłania prawe skrzydło naszej brygady i wysuwa się daleko naprzód na „stracone placówki” w Białym, w wąskiej górskiej dolinie patroluje aż do Kamienicy, starając się nawiązać kontakt z lewym skrzydłem armii Boroevića. 4 grudnia pod Wysokim uderza nocnym pierwszym atakiem na secinę 32 dońskiego pułku i rozbija go; następnie ma utarczkę pod Trzetrzewiną. W ten sposób w trudnych górskich pochodach i ciągłych utarczkach przychodzi 5 grudnia pod Marcinkowice o 10.00 godzinie rano. Staje tam tylko jeden szwadron, gdyż II udał się pod Stary Sącz. Wywiad na prawy brzeg Dunajca wykrywa placówkę kozacką z 17 ludźmi 32 Dońskiego Pułku. W Dąbrowie Belina daje rozkaz Skotnickiemu, aby wziął dwa plutony i zniósł albo schwytal placówkę. Rozejrzawszy się wszakże w sytuacji, wstrzymuje wykonanie rozkazu. Jednocześnie Dreszer z jednym plutonem udaje się na Rdziostów pod Nowy Sącz, wykrywa pozycję armat rosyjskich, określa dokładnie ich położenie podszedłszy ku nim na 1000 kroków, co pozwala naszej artylerii na drugi dzień skutecznie ostrzeliwać nieprzyjacielską baterię i zdemontować jej działo. Wieczorem przybywa do Marcinkowic brygada. Piłsudski rozkazuje Belinie przeprowadzić wywiad na Nowy Sącz. Belina spiesza kawalerię i przeszedłszy po balach zniszczony most na Dunajcu, uderza na placówkę w Dąbrowie i bierze

do niewoli 3 ludzi i 13 koni. Od wziętych jeńców brygadier dowiaduje się, że do N[owego] Sącza przybył VIII korpus rosyjski. Artyleria 13 baterii górskiej otrzymuje rozkaz ostrzelać Nowy Sącz z lewego brzegu. Strzały naszej artylerii wzniciły popłoch w szeregach VIII rosyjskiego korpusu, dążącego ku Rajbrotowi na połączenie z XVIII korpusem, walczącym w tamtych stronach z Niemcami. Wobec tego Piłsudski polecił Belinie znowu przeprawić się przez Dunajec i napaść na uciekające, jak się zdawało, treny nieprzyjaciela. Ale zamiast trenów jazda nasza przebywszy most na rzece zbudowany w nocy przez naszych saperów, znalazła okopaną na górze piechotę i artylerię rosyjską. Belina kazał natychmiast zsiąść z koni trzem plutonom I szwadronu oraz IV plutonowi II szwadronu i uderzył na piechotę ukrytą na górze. Podpor[ucznik] Wieniawa poprowadził swój oddział w tyralierkę na łozy, w których ukryta była moskiewska piechota, podpor[ucznik] Skotnicki ostrzeliwał treny i uciekających a następnie atakujących go Moskali, a podpor[ucznik] Lewandowski ostrzeliwał artylerię rosyjską, podszedłszy do niej na 1000 kroków obsługi armat oraz konie przepłoszył i zmusił baterię do milczenia. Bój trwał już około godziny.

Wtem zewsząd zaczęły napływać gęste kolumny Moskali i otaczać z trzech stron nasze znikomo małe oddziały, z czwartej strony za sobą mieliśmy Dunajec. Wtedy Belina nakazał odwrót do koni, ukrytych za górą Kurów. Pod ogniem karabinów maszynowych i salwami rżęsiłymi piechoty rosyjskiej przeprowiła się nasza jazda wpław przez Dunajec, gdyż most został przez Moskali zburzony pociskami działowymi, następnie musiała obstrzeliwana w dalszym ciągu piekielnym ogniem przebyć dwa kilometry drogi dostępnej dla obstrzału. Ale zdenerwowana śmiałym napadem i niewiedząca z jaką ilością w istocie ma do czynienia, piechota rosyjska źle strzelała, wzięła wysoki celownik i wszystkie kule szły górą; zabito nam tylko 22 konie i raniono 6 szeregowców. Dwóch żołnierzy odciętych zginęło bez wieści na kilka dni, gdyż potem wrócili z bronią i w mundurach, ukryci przez czas pobytu Moskali przez miejscowych mieszkańców. Belina cofnął się przez Białowody i połączył z brygadą w Kłęczanach. Był to największy bój naszej kawalerii, jaki miała w ciągu całej kampanii dotychczasowej.

W marszu na Limanową kawaleria osłaniała lewe skrzydło brygady zagrożone wciąż przez nieprzyjaciela, ponosząc straty w koniach i ludziach. Pod Tymbarkiem znowu potyczka, w Zalesiu — potyczka, w Czarnym Potoku i Łącku — potyczki. W Łącku udało się nareszcie wejść w kontakt z armią Boroewicia. Brygada wróciła do Nowego Sącza i zajęła go na parę dni. W słynnej bitwie pod Łowczówkiem kawaleria brygady Piłsudskiego pełniła funkcje łączników i ordynansów.

Stamtąd poszła wraz z całym naszym wojskiem do Rajbrotu i Kęt na odpoczynek. Kwatery miała w Kozach Wielkich i spędziła czas na nieustannych ćwiczeniach, organizacji trzeciego szwadronu i na doprowadzaniu do porządku swego rynsztunku, umundurowania i uzbrojenia. Z Kóz poszła nad Nidę do okopów, gdzie na równi z piechotą pełniła służbę na zmianę co dni 10.

Obecnie stan służby dywizjonu Beliny wynosi 366 ludzi; w tym liniowych: 12 oficerów, 56 podoficerów, 269 szeregowców. Sanitariuszów: ofic. 2, podofic. 3, szeregowców 4. W taborze: 1 podoficer i 19 szeregowców. Dywizjon ma własny telefon. Kancelarię prowadził wachmistrz Helgut-Tarnasiewicz, obecnie objął ją wachmistrz Węglewski. Belina ma prócz tego dwóch adiutantów: Antoniego Jabłońskiego i Wacława Sieroszewskiego. I szwadronem dowodzi porucznik G[ustaw] Dreszer, II szw[adronem] por. Stanisław Skotnicki, III szw[adronem] por. Janusz Głuchowski. W ciągu dziewięciu ubiegłych miesięcy, właściwie do Nowego Roku, jazda brygady Piłsudskiego stoczyła 31 większych potyczek, nie licząc utarczek patrolowych prawie codziennych, skoro była na linii bojowej. Da Bóg stoczy ich dużo jeszcze na chwałę polskiego oręża i pożytek polskiej sprawy. Rannych miała przez ten czas 27, zabitych 6.

Spokój i błogosławieństwo ich ceniom!

Zagaje, 7 maja 1915 r.

Wacław Sieroszewski



Belina na Białce

DZIENNIK DZIAŁAŃ BOJOWYCH BRYGADY JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO

- Sierpień**
- 6.** Pierwszy oddział strzelców (1 kompania kadrowa i oddział konny) przekracza granicę Królestwa Polskiego w Michałowicach.
Utarczka kawalerii pod Słomnikami.
 - 7.** Zajęcie Miechowa.
 - 8.** Zajęcie Jędrzejowa. Koncentracja dalszych kompanii w Miechowie (przyszły III baon).
 - 12.** Zajęcie Kielc.
Utarczka kawalerii pod Szydłówkiem.
Utarczka kawalerii pod Zagórzem.
Bój w ulicach Kielc.
 - 13.** Utarczki kawalerii pod Szydłówkiem.
Bitwa na linii stacja Kielce — Czarnów.
 - 14.** Bitwa na linii Brzeźno — Brzegi — Mosty nad Nidą (przyszłe baony III i IV).
 - 15.** Koncentracja pod Chęcinami i Bolminem całego oddziału. (podział na baony: I, II, III, IV i V).
 - 15—18.** Marsz flankowy na Kielce przez Piekoszów — Tumlin.
 - 18.** Postój w Kielcach.
- Wrzesień**
- 11.** Wywiady kawaleryjskie i oddziałów piechoty pod Szydłowcem, Końskie, Sulejów i Włoszczowę. Potyczki pod Skarżyskiem.
Potyczki pod Nieklaniem.
Potyczki pod Końskimi.

Potyczki pod Mniowem.

11—15. Potyczki pod Żarnowem – Paradyżem.

Marsz z Kielc do Szczucina.

Potyczki pod Staszowem.

Potyczki pod Sichowem.

Potyczki pod Beszową.

Wrzesień Wymiana karabinów systemu Werndla na Mannlichery.

18. Potyczka pod Borusową.

Potyczka pod Nowym Korczynem — kawaleria.

19—23. Walki pod Nowym Korczynem.

Przeprawa przez Wisłę i nocny napad na Nowy Korczyn — II i III baony.

Bój III baonu pod Uciskowem.

Bój II baonu pod Grotnikami.

Potyczka kawalerii pod Kociną.

Napad na Ostrowce — I baonu — nocny.

Bój I i V baonu pod Ostrowcami — Grotnikami.

Potyczka kawalerii pod Wiślicą.

Bitwa IV baonu pod Winiarami.

Potyczka kawalerii pod Chotelem.

Potyczka kawalerii pod Wiślicą.

Potyczka kawalerii pod Czarkową.

Bój pod Ksanami — Czarkową.

Napad nocny na Szczytniki.

28. Marsz pod Dęblin.

Październik 19. Potyczki kawalerii:

pod Ruszczą.

pod Koprzywnicą.

pod Gniewoszowicami.

pod Szewcami.

pod Samborcem.

Detaszowanie pod Warszawę kawalerii, II baonu w dniu 13 października, IV baonu w dniu 18 października.

21. Wywiad I i III baonu na Garbatkę. Potyczka pod Policznem.

- 22—26.** Bitwa pod Laskami.
- 22.** Bój V i VI baonu pod Trupieniem.
Bój leśny III baonu pod Anielinem.
- 23.** Bój I, V i VI baonu pod Laskami.
- 24.** Bój I, III, V, VI i uzupełniającego baonu pod Laskami.
- 25.** Bój I, III, V, VI i uzupełniającego baonu pod Laskami.
- 26.** Bój I, III, V, VI i uzupełniającego baonu pod Laskami.
Walki oddziałów detaszowych do dnia 5 listopada:
- 21.** Potyczki — II [baonu] — pod Bednarami.
- 22.** Potyczki — II [baonu] — pod Bolimowem.
- 23.** Potyczki — II [baonu] — pod Zdunami.
- 23.** Potyczki — II [baonu] — pod Bolimowem.
Bitwa pod Łowiczem — II [baonu] — kawal[eria].
Bitwa pod Budami — IV [baonu].
- 24.** Bitwa pod Maurzycami — II [baonu].
Bitwa pod Niedabylem — IV [baonu].
- 25.** Bitwa pod Budami Michałowskiemi — IV [baonu].
Potyczka — II [baonu] — pod Kutnem.
- 26.** Potyczka — IV [baonu] — pod Ignacówką i Niedabylem.
Potyczka — kawal[erii] — pod Giecznem.
Potyczka — kawal[erii] — pod Władysławowem.
- 27.** Bitwa — III [baonu] — pod Topolą.
Bitwa — III [baonu] — pod Tumem.
- 28.** Bitwa — III [baonu] — pod Łęczycą.
Potyczka kawalerii pod Modlną.
- 29.** Bój — II [baonu] — pod Gostkowem.
Bój — II [baonu] — pod Turem.
- 30.** Bój — II [baonu] — „ Glinnem.
- 3. XI** Bitwa — II — pod Mroczkami i Chlewem.
- 4. XI** „ — II — „ Poprężnikami.
- 5. XI** „ — II — „ Maszowem.
- 27.** Potyczka — VI — pod Czarną.
Potyczka — VI — pod Słupcą.

- Listopad** 2. Bitwa I, III, IV, V i VI baonu pod Brzechowem.
3. „ I, III, IV, V i VI „ „ „
- 9—11. Marsz z za Wolbromia przez Ulinę mł. do Krakowa, I, III, V, kawal[eria]:
Potyczka pod Chliną.
„ „ Tczycą.
„ „ Uliną.
„ „ Czapłami.
„ „ Wiktorką.
„ „ Wygodą.
„ „ Władysławem.
„ „ Celinami.
„ „ Widomą.
„ „ Michałowicami.
9. Bitwa pod Krzywopłotami, IV, VI, artyl[eria].
10. „ „ „ IV, VI, „
- Listopad** 11. Bitwa pod Krzywopłotami, IV, VI, artyl[eria].
12. „ „ „ IV, VI,
13. „ „ „ IV, VI, „
14. „ „ „ IV, VI, „
15. „ „ „ IV, VI, „
16. „ „ „ IV, VI, „
17. Nocny bój o Załęże, IV, VI, „
18. Bój pod Domaniewiczami, IV, VI, „
19. Bitwa pod Krzywopłotami, IV, VI, „
20. „ „ „ IV, VI, „
21. „ „ „ IV, VI, „
23. Przejazd koleją z Makowa do Mszany Dolnej, I, II, III, V, kawa[leria].
Napad nocny na Chyżówki, II i III baon.
24. Utarczki kawalerii pod Słopnicami.
„ „ „ Kamienicą.
25. Bitwa pod Limanową, I i V baon.
26. „ „ Słopnicami, I, III i V baon.
Detaszowanie II baonu na drogę Nowy Sącz—Nowy Targ.

27. Bitwa na przełęczy Chyżówki.
Utarczki w Dobrej.
28. Bitwa na przełęczy Chyżówki.
29. „ pod Chyżówkami, Jurkowem, Dobrą.
30. Utarczki w Jurkowie.

- Grudzień**
1. Utarczka nocna pod Słopnicą.
 2. Napad nocny na Słopnicę, I, III i V baon.
 3. Potyczka kawalerii pod Zalesiem.
„ „ „ Kamienicą.
 4. „ „ „ Wysokiem.
 5. Bitwa detaszowanego V baonu pod Beldnem.
„ kawalerii pod Trzetrzewiną.
Marsz flankowy na Nowy Sącz, I, III, V, artyl[erii].
Bój nocny pod Rdziostowem.
 6. Przeprowadzenie kawalerii za Dunajec i bój pod Dąbrową.
Bitwa pod Marcinkowicami, I, III, artyl[erii].
 7. „ „ Pisarzową, I, III, „
 8. „ „ Limanową, I, III, V, „
 9. „ kawalerii pod Zbłudzą.
Utarczki pod Jerzową Wodą.

10. Bitwa pod Zabrzeziem, III [baon] i art[yleria].

- Grudzień**
10. Utarczka kawalerii pod Zagórzynem.
 11. Atak na Łącko, III [baon], kawa[leria].
 - 14—20. Postój w Nowym Sączu.
 21. Marsz na linię boju pod Tarnów.
 22. Bój pod Lichwinem.
 23. Bitwa pod Łowczówkiem I, II, III, IV, V, VI uzupełniony, kawa[leria].
 24. Bitwa pod Łowczówkiem I, II, III, IV, V, VI „ „
 25. Bitwa pod Łowczówkiem I, II, III, IV, V, VI „ „
 26. Bitwa pod Łowczówkiem I, II, III, IV, V, VI „ „
 27. —

- Styczeń**
18. Postoje i marsze: Wróblowice, Lipnica, Zdonia.
 - 18—24. Marsz do Kęt.

24. —
- Luty** 26. Postój w Kętach.
- Marzec** 3. —
- Maj** 11. — Walka pozycyjna nad Nidą.
10. III Walki forpocztowe pod Sobowicami.
27. IV „ „ „ Kopernią i Pińczowem.
- 30 IV — 3 V Bój demonstracyjny nad Nidą.
3. Atak nocny I. baonu na okopy rosyjskie pod Kopernią.
- 11—15. Pościg za ustępującym nieprzyjacielem.
Potyczka kawalerii pod Straszniowem.
„ „ „ Staszowem.
„ „ „ Ogłędowem.
„ „ „ Kurozwękami.
„ „ „ Rytwianami.
- 16—25. Boje pod Klimontowem i Opatowem.
16. Bój pod Beradziem.
Bój 2 pułku pod Swojkowem—Włostowem.
17. Bój 2 pułku pod Garbowicami.
18. Bój 2 pułku pod Konarami.
18. Bój V baonu pod Kozinkiem.
19. Bój V baonu pod Kozinkiem.
19. Bój 2 pułku pod Konarami.
19. Bitwa VI baonu pod Olszowcem.
- 19—22. Walka pozycyjna I baonu 1 pułku pod Gorzkowem.
20. Bitwa V i III baonu pod Kozinkiem.
20. Bitwa 2 pułku pod Konarami.
20. Utarczki VI baonu pod Winną.
- Maj** 21. Bitwa III i V baonu pod Kozinkiem.
21. Bitwa 2 pułku pod Konarami.
21. Bitwa VI baonu pod Wszachowem.
22. Bitwa II baonu pod Kozinkiem.
22. Bitwa 2 pułku pod Konarami—Kamieńcem.

- 22. Bitwa VI baonu pod Wszachowem—Janczycami.
- 23. Bitwa VI baonu pod Zernikami.
- 23. Bitwa 2 pułku i I baonu 1 pułku pod Przapiórowem i Kamieńcem.
- 24. Bitwa 2 pułku i I baonu 1 pułku pod Przapiórowem i Kamieńcem.
- 24. Bitwa VI baonu pod Zernikami.

Od dnia 25. Walka pozycyjna VI baonu pod Zernikami.

Od dnia 25. Walka pozycyjna Brygady pod Konarami—Kujawami.





Ułani Beliny na patrolu



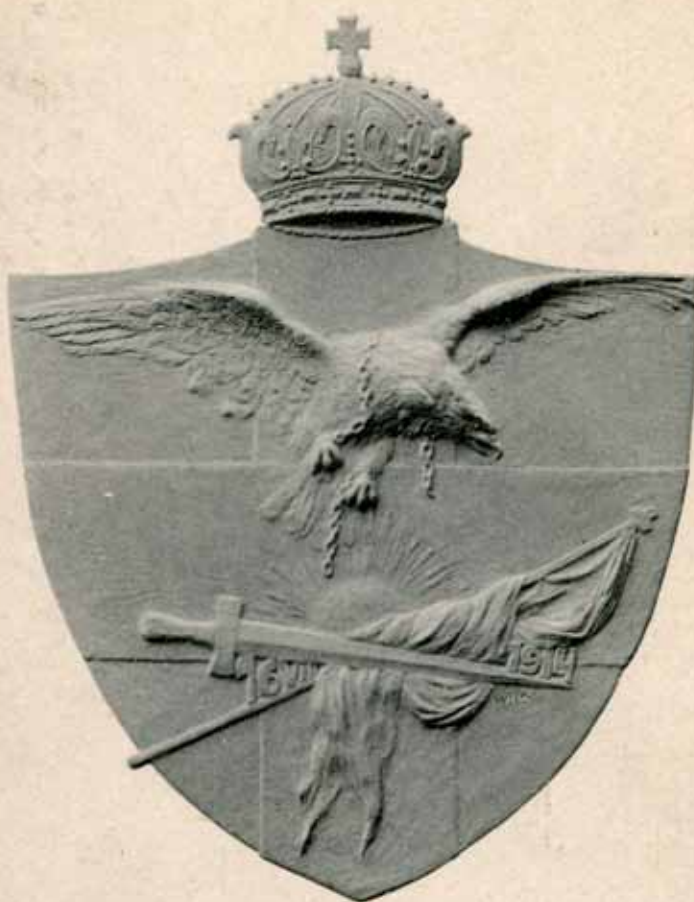
Patrol ułański



Przeprawa brygady przez rzekę



Przejście legionistów przez Nidę



NACZELNY KOMITET NARODOWY

AUTORZY

Legiony Polskie ukształtowały się jako specyficzna formacja. Skupiały w poważnym stopniu młodą inteligencję i studentów wywodzących się z PPS lub sympatyzujących z ruchem socjalistycznym i ludowym. Większość oficerów przed wstąpieniem do Legionów studiowała w szkołach wyższych lub była związana z zawodami inteligenckimi. Najbardziej inteligencki charakter miała I Brygada Legionów Polskich. W szeregach I Brygady znalazło się też wielu literatów i artystów, którzy piórem i pędzlem dokumentowali swoje przeżycia wojenne. Dokonania I Brygady sławili tacy pisarze i poeci, jak m.in.: Gustaw Daniłowski, Juliusz Kaden-Bandrowski, Wacław Sieroszewski, Edward Słoński, Andrzej Strug-Galecki, Maria Dąbrowska. Ich teksty były często publikowane i rozpowszechniane poza oddziałami wojskowymi, miały znaczący wpływ na kształtowanie postaw społeczeństwa wobec Legionów. Opisy walk zbierano i niejednokrotnie publikowano jeszcze w czasie wojny.

Proponowana Czytelnikowi książka należy właśnie do tego nurtu literatury pisanej „na gorąco”, albo po niewielkim upływie czasu od wydarzeń. Stanowi cenne źródło, ukazujące przeżycia wojenne żołnierzy I Brygady w pierwszym okresie wojny, bez znajomości późniejszego rozwoju wydarzeń. Autorzy pisząc swoje relacje, nie znali przyszłości, stąd ich opis tchnie niejednokrotnie większym autentyzmem niż wspomnienia pisane i publikowane z dłuższej perspektywy czasu. Wśród jej twórców, z uwagi na rolę, jaką przyszło im pełnić w późniejszym okresie, na szczególną uwagę zasługują autorzy: Gustaw Daniłowski, Adam Dobrodzicki, Stefan Pomarański (na kartach książki występuje jako SBP) i Wacław Sieroszewski.

GUSTAW DANIŁOWSKI (1871–1927) był pisarzem, publicystą, działaczem socjalistycznym i niepodległościowym. Od 1895 roku był członkiem Polskiej Partii Socjalistycznej. Brał udział w rewolucji 1905 roku. Działal w Związku Walki Czynnej. Po wybuchu wojny wstąpił do I Brygady Legionów. Po odzyskaniu niepodległości od grudnia 1918 roku

do grudnia 1922 roku był urzędnikiem do specjalnych poruczeń przy Naczelniku Państwa Józefie Piłsudskim.

ADAM DOBRODZICKI (1883–1944) był malarzem, litografem, scenografem i reżyserem teatralnym, projektantem rzeźb nagrobnych, publicystą. W 1912 roku wstąpił do Związku Strzeleckiego, w czasie wojny służył w pododdziałach I Brygady Legionów Polskich. Podczas tzw. kryzysu przysięgowego był internowany w forcie w Beniaminowie. W 1918 roku w stopniu majora został adiutantem Naczelnego Wodza Józefa Piłsudskiego. W okresie międzywojennym wykładał w Wyższej Oficerskiej Szkole Piechoty jako historyk dziejów Legionów Polskich.

STEFAN POMARAŃSKI (1893–1944) był oficerem WP i historykiem. Działalność niepodległościową rozpoczął w kompanii kadrowej. W czasie wojny z Rosją Radziecką w latach 1919–1921 był komendantem Kwatery Głównej Sztabu Ścisłego Naczelnego Wodza i przygotowywał komunikaty prasowe Sztabu Generalnego. Po wybuchu II wojny światowej walczył w obronie Lwowa, następnie internowany na Węgrzech działał w konspiracji. Aresztowany przez gestapo, został zamordowany w obozie koncentracyjnym Flossenbürg 15 grudnia 1944 roku.

WACŁAW SIEROSZEWSKI (1858–1945) był pisarzem, zesłańcem na Sybir, podróżnikiem, etnografem Syberii i działaczem niepodległościowym. Za udział w tajnych stowarzyszeniach patriotycznych został wydany przez władze rosyjskie z gimnazjum. Aresztowany w 1878 roku i osadzony w X Pawilonie Cytadeli Warszawskiej, i zesłany na Syberię. Po rewolucji w 1905 roku wyjechał do Galicji. Wstąpił do Związku Strzeleckiego i jako kawalerzysta 1 Pułku Ułanów Legionów Polskich Władysława Beliny-Prażmowskiego wziął udział w czynie legionowym. W 1918 roku jako przywódca Stronnictwa Niezawisłości Narodowej został ministrem informacji i propagandy w Tymczasowym Rządzie Ludowym Republiki Polskiej w Lublinie.

Książka *Z dziejów Brygady Piłsudskiego* została wydana przez Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej w 100 rocznicę Legionowego Czynu Niepodległościowego. Publikację wzbogacają liczne fotografie, dokumentujące czyn zbrojny I Brygady Legionów. Autorzy wstępu mają nadzieję, że zostanie ona dobrze przyjęta w środowisku wojskowym i cywilnym, i wzbogaci wiedzę o tych, którzy jako „strzelecka gromada” rzucili swoje życie „na stos”.

ZG, WR

NOTA WYDAWNICZA

„Z dziejów Brygady Piłsudskiego” ukazało się w 1915 roku nakładem Michała Baranowskiego w Krakowie. Jest to jedna z pierwszych publikacji prezentujących wysilek strzelców Piłsudskiego w latach 1914—1915. Znalazły się w niej teksty uczestników zmagania, którzy w sposób interesujący przedstawiają ówczesne wydarzenia. Wysoki walor poznawczy i autentyzm, z jakim ukazane są zdarzenia, zdecydował o wznowieniu właśnie tej pracy w 100 rocznicę Legionowego Czynu.

Układ obecnego wydania nie jest wiernym odwzorowaniem pierwszej edycji. Został zmieniony przez przeniesienie kalendarium na koniec pracy oraz przez uzupełnienie tekstów pierwowzoru o biogramy zidentyfikowanych autorów. Ponadto uzupełniono je dodatkowym materiałem ilustracyjnym ze zbiorów Instytutu Józefa Piłsudskiego w Nowym Jorku, który jest współwydawcą. Zamieszczona w publikacji mapa pochodzi z oryginalnego wydania.

W obecnym wydaniu uwspółcześniono pisownię, poprawiono oczywiste błędy literowe i interpunkcyjne, a także wprowadzono rozwinięcia skrótów. Niezbędne objaśnienia niektórych sformułowań oznaczono nawiasami kwadratowymi.

Wojskowe Centrum Edukacji Obywatelskiej dochowało wszelkich starań w celu ustalenia praw autorskich do tej publikacji. Nie we wszystkich wypadkach udało się dotrzeć do spadkobierców zamieszczonych tekstów. W razie jakichkolwiek wątpliwości prosimy kontaktować się z wydawcą.

SPIS TREŚCI

WSTĘP	5
STRZELCY PIŁSUDSKIEGO 1914–1915	9
PIERWSZE BITWY	23
CZTERNASTODNIOWA DZIAŁALNOŚĆ STRZELCÓW POD KOMENDĄ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO	31
LASKI.	45
Z POD WARSZAWY.	57
BITWA POD KRZYWOPŁOTAMI.	65
NA PODHALU.	77
ŁOWCZÓWEK.	89
WYPRAWA SANDOMIERSKA	99
JAZDA BRYGADY PIŁSUDSKIEGO.	109
DZIENNIK DZIAŁAŃ BOJOWYCH BRYGADY JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO.	117
AUTORZY.	127
NOTA WYDAWNICZA.	129



WYDANO Z OKAZJI
100 ROCZNICY
LEGIONOWEGO CZYNU NIEPODLEGŁOŚCIOWEGO